

MORGAN RICE

KSIĘGA 13 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

RZĄDY
KRÓLOWYCH



Morgan Rice
Rządy Królowych
Серия «Крегу
Czarnoksiężnika», книга 13

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696311
Rządy Królowych (Księga 13 Kregu Czarnoksiężnika):
ISBN 9781632915863*

Аннотация

KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce. – Books and Movies Reviews, Roberto Mattos

RZĄDY KRÓLOWYCH to trzynasta księga bestsellerowej sagi KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, której pierwszą częścią jest książka pod tytułem WYPRAWA BOHATERÓW. W RZĄDACH KRÓLOWYCH Gwendolyn prowadzi ocalałych członków swojego ludu na wygnanie, po tym jak udaje im się dotrzeć do wrogich wybrzeży Imperium. Wzięci pod opiekę ludu Sandary, starają się w ukryciu odzyskać siły i stworzyć sobie nowy dom w cieniach miasta Volusia. Thor, zdecydowany, by ocalić Guwayne'a,

kontynuujecie wraz ze swą drużyną misję, której wykonania się podjęli. Przepływają przez potężny ocean, aby dostać się do potężnych jaskiń niedaleko Krainy Duchów. Napotkają tam niewyobrażalne potwory i egzotyczne krajobrazy. Na Wyspach Południowych Alistair postanowiła poświęcić swoje życie dla Ereca – jednak nieoczekiwany zwrot zdarzeń może sprawić, że obojgu im uda się ocaleć. Dariusz ryzykuje wszystko, aby ocalić miłość swojego życia, Loti. Nawet jeśli oznacza to, że sam musi stawić czoła Imperium. Już po krótkim czasie zorientuje się, że to dopiero początek. Volusia dokonuje powstania. Po zabójstwie Romulusa zdobywa władzę nad Imperium i staje się bezlitosną królową – dokładnie taką, jaką zawsze chciała być. Czy Gwen i jej ludzie przeżyją? Czy Guwayne zostanie znaleziony? Czy Alistair i Erec przeżyją? Czy Dariusz uratuje Loti? Czy Thorgrin i jego kompania przetrwają? Dzięki skomplikowanej budowie świata i charakterystyce postaci, RZĄDY KRÓLOWYCH są wspaniałą historią o przyjaciółach, kochankach, rywalach i zalotnikach, o rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. Jest to opowieść o odwadze, wierze i przeznaczeniu, o czarnoksiężstwie. Jest to powieść fantasy, która wprowadzi nas do świata, którego nigdy nie zapomnimy. To opowieść nadająca się dla wszystkich, niezależnie od wieku i płci. Opowieść przykuła moją uwagę od samego początku – i nie puściła do końca... Ta historia przedstawia wspaniałą przygodę, która pełna jest nagłych zwrotów akcji i ciekawych zdarzeń. Nie znajdziecie tu ani jednego nudnego momentu. Paranormap Romance Guild

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	13
ROZDZIAŁ DRUGI	20
ROZDZIAŁ TRZECI	22
ROZDZIAŁ CZWARTY	28
ROZDZIAŁ PIĄTY	39
ROZDZIAŁ SZÓSTY	48
ROZDZIAŁ SIÓDMY	60
ROZDZIAŁ ÓSMY	69
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	76
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	87
Конец ознакомительного фрагмента.	94

Morgan Rice

Rządy Królowych (Księga 13 Kręgu Czarnoksiężnika)

PRZEKŁAD: SANDRA WILK

O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań

z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

– *Books and Movie Reviews, Roberto Mattos*

“Zajmujące epickie fantasy.”

– *Kirkus Reviews*

„Początki czegoś niezwykłego.”

– *San Francisco Book Review*

„Powieść pełna akcji... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

– *Publishers Weekly*

„Porywające fantasy... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– *Midwest Book Review*

Książki autorstwa Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

- POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)
- POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)
- POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)
- KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)
- KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ #5)
- KRWAWA NOC (CZEŚĆ #6)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA

- WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)
- MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)
- LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
- ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
- BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
- SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
- RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
- OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
- NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
- MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
- ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
- KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
- RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
- PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)
ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZARECZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



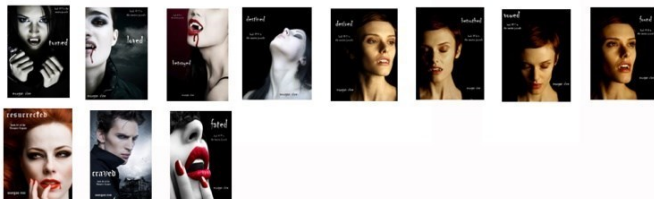
THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



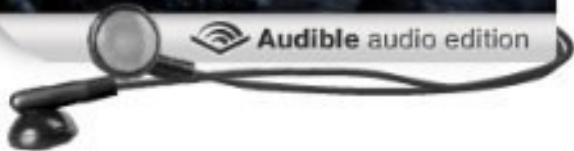
(BOOK 4 IN THE SHERIFFS RING)

A QUEST OF HEROES

MORGAN RICE



Audible audio edition



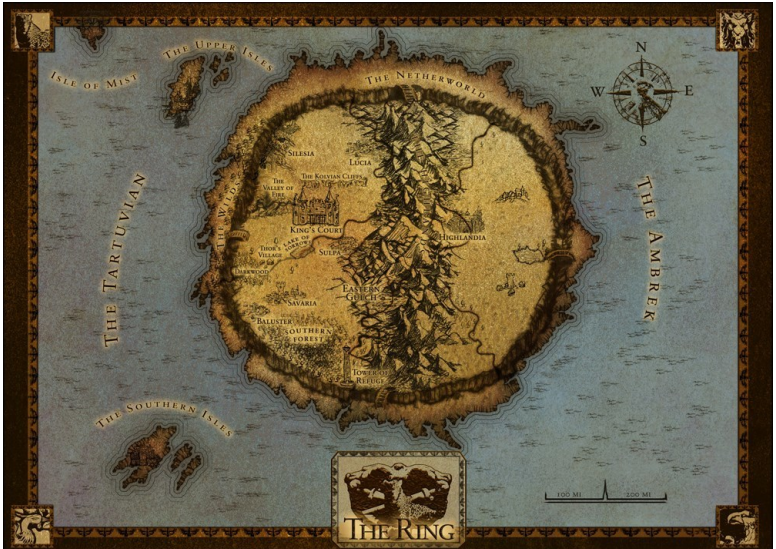
**Słuchaj książek z serii KREGU
CZARNOKSIEŻNIKA w formie audiobooków!**

Teraz dostępne na:

Amazon

Audible

iTunes



THE RING

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Thorgrin uderzał głową o skały i błotnistą ziemię, spadając na łeb na szyję setki stóp w dół zbrocza wraz z osuwającą się górą. Wszystko wokoło niego wirowało, a on próbował się zatrzymać, zwolnić, lecz nie potrafił. Kątem oka spostrzegł, że jego bracia także spadają, koziołkując. Każdy, także Thor, wyciągał rozpaczliwie ręce, by chwycić się korzeni, skał – czegokolwiek – i spowolnić upadek.

Thor zdał sobie sprawę, że z każdą upływającą chwilą oddala się od szczytu wulkanu, od Guwayne'a. Pomyślał o tych dzikusach na górze, gotujących się, by złożyć jego dziecko w ofierze, i zawrzał z wściekłości. Rył paznokciami w błotnistej ziemi, wrzeszcząc, rozpaczliwie pragnąc dostać się z powrotem na szczyt.

Jednak choć starał się z całych sił, nie mógł temu zaradzić. Thor ledwie widział i ledwie mógł oddychać, nie wspominając już o tym, by osłonić się przed uderzeniami, gdy góra osypywała się na niego. Miał wrażenie, że dźwiga na barkach ciężar całego świata.

Wszystko działo się niewiarygodnie szybko – zbyt szybko, by Thor zdołał objąć to myślą – a gdy spojrział kątem oka w dół, ujrzał ostro zakończone skały. Wiedział, że gdy tylko w nie wpadną, zginą.

Przymknął powieki i próbował przywołać w myślach swe

szkolenie, nauki Argona, słowa swej matki, starał się odnaleźć ciszę pośród burzy, przyzwać skrytego w sobie wojownika. Poczuł, że życie przebiega mu przed oczyma. Czy był to – zastanawiał się – jego ostateczny sprawdzian?

Proszę, Boże, modlił się Thor, jeśli istniejesz, ocal mnie. Nie pozwól, bym zginął w ten sposób. Pozwól mi przyzwać mą moc. Pozwól mi ocalić mego syna.

Wypowiadając w myślach te słowa, Thor poczuł, że jest poddawany próbie, że zmuszony jest uwierzyć, i to silniej niż kiedykolwiek. Matka ostrzegała go, że jest teraz wojownikiem i poddawany jest sprawdzianowi wojownika.

Gdy zamknął oczy, wszystko wokół zaczęło zwalniać i ku swemu zdumieniu Thor poczuł spokój, ciszę pośród burzy. Poczuł, jak wzbiera w nim ciepło, które przepływa przez jego żyły i dłonie. Poczuł, że jest większy niż jego ciało.

Thor poczuł, że znajduje się poza swym ciałem i spojrzawszy w dół, ujrzał siebie spadającego na łeb na szyję ze zbocza. W tej chwili pojął, że on i jego ciało nie stanowią jedności. Był czymś większym.

Nagle Thor znalazł się na powrót w swym ciele. Uniósł dłonie wysoko nad głowę i spostrzegł, że emanuje z nich białe światło. Pokierował nim i utworzył wokół siebie i swych braci bańkę, a wtedy lawina błota raptownie zatrzymała się w miejscu, a ściana pyłu odbiła się od tarczy i nie opadała już na nich.

Nadal się zsuwali, lecz teraz już znacznie wolniej, i zatrzymali się w końcu na niewielkim występie skalnym niemal u podnóża

góry. Thor opuścił wzrok i spostrzegł, że zatrzymał się w płytkiej wodzie, a gdy wstał, przekonał się, że sięga mu do kolan.

Rozejrzał się wokoło ze zdumieniem. Podniósł wzrok ku górze, na zastygły w powietrzu pył, który wyglądał, jakby miał lada chwila opaść, utrzymywany w miejscu przez jego bańkę światła. Potoczył wzrokiem po tym wszystkim, zadziwiony, że zdołał to uczynić.

– Wszyscy żywi? – zawołał O’Connor.

Thor ujrzał Reece’a, O’Connora, Convena, Matusa, Eldena i Indrę. Z wolna podnosili się, poturbowani, lecz jakimś cudem wszyscy przeżyli i żadne z nich nie doznało większych ran. Przecierali pokryte czarnym pyłem twarze. Wyglądali, jak gdyby wyczołgali się z kopalni. Thor widział, jak wdzięczni są, że przeżyli i dostrzegł w ich oczach, że sądzą, iż to jemu zawdzięczają ocalenie życia.

Thor, wspomniawszy sobie nagle, odwrócił się i wznosił wzrok ku szczytowi, a myśli jego zajmowało tylko jedno: jego syn.

– Jakim sposobem mamy się wdrapać... – zaczął Matus.

Jednak nim zdołał dokończyć, Thor nagle poczuł, jak coś owija się dokoła jego kostek. Spojrzał w dół z zaskoczeniem i ujrzał grube, oślizgłe, muskularne stworzenie, oplatające raz po raz jego kostki i łydki. Z przerażeniem patrzył na długiego stwora, niby węgorza, o dwóch niedużych łbach, który syczał, wysuwając długie języki. Stwór patrzył na niego, oplatając go mackami. Dotyk jego skóry parzył Thora w nogi.

Thor zareagował natychmiast. Dobył miecza i ciął, podobnie jak pozostali dokoła niego, którzy także byli atakowani. Starał się uderzać ostrożnie, by nie drasnąć siebie. Zadał cios, rozcinając węgorza, a ten rozluźnił uścisk i potworny ból w kostkach Thora zelżał. Stwór z sykiem wślizgnął się na powrót do wody.

O'Connor chwycił swój łuk, wypuszczał strzały w dół i chybiał, a Elden wrzeszczał, gdy trzy węgorze atakowały go jednocześnie.

Thor rzucił się naprzód i ciął węgorza, który zaciskał się wokół nogi O'Connora, a Indra dała krok naprzód i wrzasnęła do Eldena:

– Nie ruszaj się!

Uniosła łuk i wystrzeliła szybko jedną po drugiej trzy strzały. Zabiła wszystkie węgorze, ledwie drasnąwszy skórę Eldena.

Ten podniósł na nią zdumione spojrzenie.

– Postradałaś zmysły? – wykrzyknął. – O mało nie trafiłaś w moją nogę!

Indra uśmiechnęła się.

– Ale nie trafiłam, prawda? – odparła.

Thor usłyszał kolejne pluski i spojrzawszy w wodę ze zdumieniem ujrzał tuziny wylaniających się węgorzy. Zrozumiał, że muszą zareagować natychmiast i prędko się stamtąd wydostać.

Thor był pozbawiony sił, wycieńczony przyzwaniem swej mocy i wiedział, że niewiele już jej w nim pozostało; wiedział, że nie jest jeszcze wystarczająco silny, by stale ją przyzywać. Wiedział jednak, że musi posłużyć się nią ten jeden ostatni raz,

bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić. Wiedział, że w przeciwnym razie nigdy nie uda im się powrócić, że zginą w tej wodzie pośród węgorzy i jego syn nie zyska najmniejszej nawet szansy na przeżycie. Być może wyczerpie całą swą siłę, być może osłabi go to na wiele dni, lecz nie dbał o to. Pomyślał o bezbronnym Guwaynie, który pozostał na szczycie góry, na łasce tych dzikusów, i wiedział, że uczyni, co tylko będzie musiał.

Gdy kolejne węgorze poczęły się ku niemu zbliżać, Thor opuścił powieki i wznosił dłonie ku niebu.

– W imię jedyne boga – rzekł Thor głośno. – Niebioso, rozkazuję wam, byście się rozstąpiły! Rozkazuję wam, byście zesłały nam obłoki, które poniosą nas ku górze!

Thor wyrzekł te słowa poważnym, głębokim głosem, nie lękając się już być druidem. Czuł, jak drgają w jego piersi, w powietrzu. Poczuł, że wzbiera w nim ogromne ciepło, a gdy wypowiedział te słowa, pewien był, że się wypełnią.

Rozległ się potężny huk i Thor wznosił wzrok ku niebiosom, które poczęły się zmieniać, przybierając barwę ciemnego fioletu. Obłoki poczęły się kłębić. Wśród nich pojawił się okrągły otwór, przejaśnienie na niebie, i nagle w dół wystrzelił promień szkarłatnego światła, a za nim stożkowata chmura, która opadła prosto na nich.

Po kilku chwilach Thora i resztę wessał wir powietrzny. Thor poczuł wokół siebie wilgoć miękkich obłoków, poczuł, że zanurza się w świetle, a po kilku chwilach – że unosi się w powietrzu. Nigdy wcześniej nie czuł się tak lekki. Całym sobą

czuł, że on i wszechświat są jednym.

Thor unosił się coraz wyżej i wyżej, wzdłuż zbocza góry, obok znieruchomiłego pyłu, obok swej bańki, aż na sam szczyt. W kilka chwil chmura uniosła ich na sam wierzchołek wulkanu i postawiła delikatnie, po czym równie szybko się rozproszyła.

Thor stanął pośród swych braci, a oni przyglądali mu się z najwyższym podziwem, jak gdyby był bogiem.

Nie o nich jednak myślał; odwrócił się i szybko rozejrzał wokoło. W głowie jego krążyła jedna tylko myśl: trzech dzikusów stojących przed nim. I niewielki kosz, który trzymali w dłoniach nad skrajem wulkanu.

Thor wydał z siebie okrzyk bitewny i rzucił się naprzód. Jeden z dzikusów odwrócił się twarzą do niego, zbity z tropu, a wtedy Thor bez wahania rzucił się naprzód i ściał mu głowę.

Pozostałych dwóch zwróciło się ku niemu z przerażeniem na twarzy, a wtedy Thor dźgnął jednego z nich w serce, następnie zamachnął się i uderzył głownią miecza drugiego w twarz. Dzikus poleciał w tył, krzycząc, i wpadł do krateru.

Thor odwrócił się i prędko chwycił kosz, nim wpadł do środka. Spojrzał w dół, a serce tłukło mu się z wdzięczności, że zdołał pochwycić go w czas. Pragnął wyciągnąć Guwayne'a i utulić go.

Jednak gdy zajrzał do kosza, cały jego świat rozprysnął się na milion kawałków.

Był pusty.

Wszystko wokoło niego zatrzymało się, a on zastygł w

miejscu.

Spojrzał w głąb wulkanu i ujrzał w dole wznoszące się wysoko płomienie. Pojął, że jego syn nie żyje.

– NIE! – krzyknął.

Thor osunął się na kolana, wrzeszcząc ku niebiosom. Wyrzucił z siebie krzyk, który odbił się echem od gór, niby pierwotny krzyk człowieka, który stracił wszystko, dla czego żył.

– GUWAYNE!

ROZDZIAŁ DRUGI

Wysoko ponad samotną wyspą pośrodku morza leciał smok. Był nieduży, niedorosły jeszcze. Krzyk jego był przenikliwy, przesywający, wróżąc już smoka, którym miał się kiedyś stać. Leciał triumfalnie, a jego niewielkie łuski pulsowały, powiększając się z każdą chwilą. Uderzał skrzydłami i zaciskał swe szpony wokół najcenniejszej rzeczy, jaką niósł w swym niedługim jeszcze życiu.

Smok opuścił wzrok, czując ciepło w swych szponach, i spojrzał na swą cenną zdobycz. Słyszał łkanie, czuł wiercenie się i uspokoił się widząc, że dziecko wciąż jest w jego szponach, nietknięte.

Guwayne, zawołał mężczyzna.

Smok leciał wysoko w górze i wciąż słyszał krzyki niosące się echem od gór. Nie posiadał się z radości – zdołał uratować dziecko w sam czas, nim ci mężczyźni zdążyli opuścić sztylety. Wyrwał im *Guwayne*'a z rąk w ostatniej chwili. Dobrze poradził sobie z zadaniem, które rozkazano mu wykonać.

Smok wznosił się coraz wyżej i wyżej ponad samotną wyspą, ku chmurom. Zniknął już z oczu tym ludziom w dole. Leciał nad wyspą, nad wulkanami i pasmami gór, przez mgłę, coraz dalej i dalej.

Niebawem leciał już nad oceanem, pozostawiwszy niewielką wyspę za sobą. Przed nim znajdował się rozległy przestwór wody

i nieba. Na milion mil przed nim nic nie zakłócało jednostajności krajobrazu.

Smok wiedział dokładnie, dokąd zmierza. Do miejsca, w które miał donieść to dziecko, dziecko, które kochał już bardziej niż byłby w stanie wyrazić.

Do doprawdy niezwykłego miejsca.

ROZDZIAŁ TRZECI

Volusia stała nad trupem Romulusa, patrząc na niego z zadowoleniem. Jego krew, wciąż ciepła, obmywała jej stopy, wciskała się pomiędzy jej palce. Volusia rozkoszowała się tym uczuciem. Nie pamiętała, ilu mężczyzn – w tak młodym jeszcze wieku – zabiła, zaskoczyła. Zawsze ją lekceważyli, a okazywanie, na jaką brutalność potrafiła się zdobyć, było jedną z największych rozkoszy w jej życiu.

A teraz zabiła samego Wielkiego Romulusa – i to własnymi rękoma, nie wysługując się swymi ludźmi – Wielkiego Romulusa, legendarnego człeka, wojownika, który uśmiercił Andronicusa i zagarnął jego tron. Najwyższego Władcę Imperium.

Volusia uśmiechnęła się z rozkoszą. Ten właśnie najwyższy władca leżał teraz w kałuży krwi obok jej stóp. I zginął z jej ręki.

Dodało jej to pewności. Czowała płonący w swych żyłach ogień, ogień, który pchał ją ku temu, by wszystko unicestwić. Czowała, że jej przeznaczenie popędza ją. Czowała, że nastał jej czas. Wiedziała – z taką samą pewnością jak to, że zamorduje matkę własnymi rękoma – że jednego dnia będzie władać Imperium.

– Zabiłaś naszego pana! – dobiegł ją drżący głos. – Zabiłaś Wielkiego Romulusa!

Volusia podniosła wzrok i ujrzała twarz dowódcy Romulusa. Stał przed nią, wpatrując się w nią ze zdumieniem, trwogą i

podziwem.

– Zabiłaś – powiedział, przygnębiony. – Mężczyznę, którego nie można zabić.

Volusia posłała mu surowe, zimne spojrzenie. Za jego plecami spostrzegła setki żołnierzy Romulusa w najświetniejszych zbrojach, ustawionych na okręcie. Obserwowali ją, czekając na jej kolejny krok. Gotowi byli, by przypuścić szarżę.

Dowódca Romulusa stał w porcie z tuzinem swych ludzi, którzy czekali na jego rozkazy. Volusia wiedziała, że za nią stoją tysiące jej żołnierzy. Okręt Romulusa, choć wielki, nie miał przewagi liczebnej. Jego żołnierze byli otoczeni w tym porcie. Byli uwięzieni. Było to terytorium Volusii, a oni wiedzieli o tym. Wiedzieli, że i atak, i ucieczka byłyby daremne.

– Taki czyn nie przejdzie bez odpowiedzi – mówił dalej dowódca. – Lojalnych Romulusowi pozostaje milion ludzi w Kręgu. Drugi lojalny mu milion czeka na południu, w stolicy Imperium. Gdy dotrze do nich wieść o tym, coś uczyniła, zbiorą się i ruszą na ciebie. Może i uśmierciłaś Wielkiego Romulusa, lecz nie jego ludzi. A tysiące twych żołnierzy, choć mają przewagę liczebną nad nami dzisiaj, nie są w stanie stawić czoła jego milionom. Zapragną oni zemsty. I jej dokonają.

– Ach tak? – rzekła Volusia z uśmiechem i dała krok w jego stronę, obracając w dłoni ostrze. Oczyma wyobraźni widziała, jak podcina gardło temu mężczyźnie i natychmiast odczuła chęć, by to uczynić.

Dowódca opuścił wzrok na broń w jej dłoni, broń, którą

uśmierciła Romulusa, i przełknął głośno ślinę, jak gdyby czytał w jej myślach. W jego oczach Volusia dostrzegła prawdziwy lęk.

– Pozwól nam odejść – powiedział do niej. – Odeślij mych ludzi. Nie uczynili ci krzywdy. Daj nam okręt pełen złota, a kupisz nim nasze milczenie. Dopłyniemy do stolicy i rzeknę tam, żeś niewinna. Że to Romulus usiłował cię zaatakować. Pozostawią cię w spokoju, będziesz żyła spokojnie tutaj, na północy, a oni obiorą nowego Najwyższego Dowódcę Imperium.

Volusia uśmiechnęła się szeroko, rozbawiona.

– Czy nie wiesz, że patrzysz właśnie na swego nowego Najwyższego Dowódcę? – spytała.

Dowódca spojrzał na nią zaszokowany i wybuchnął w końcu krótkim, drwiącym śmiechem.

– Ty? – powiedział. – Jesteś jedynie dziewczką, która dysponuje ledwie kilkoma tysiącami ludzi. Zabiłaś jednego mężczyznę i naprawdę to każe ci sądzić, że zdołasz zmiażdżyć miliony Romulusa? Poszczęści ci się, jeśli ujdiesz z życiem po tym, co uczyniłaś dzisiaj. Ofiarowuję ci podarek. Dość już tej czczej gadaniny. Okaż wdzięczność za mą propozycję, przyjmij ją i poślij nas w drogę, nim się rozmyślē.

– A jeśli nie zechcę jej przyjąć?

Dowódca spojrzał jej w oczy i ciężko przełknął ślinę.

– Możesz nas wszystkich zabić – powiedział. – Wybór należy do ciebie. Lecz jeśli to uczynisz, skazesz na śmierć także siebie i swych ludzi. Zmiażdży cię armia, która nadejdzie.

– Rzecz prawdę, pani – usłyszała szept przy swym uchu.

Odwróciwszy się ujrzała Soku, dowódcę swych oddziałów – wysokiego mężczyznę o zielonych oczach, szczęce wojownika i krótkich, rudych puklach – który podszedł do niej.

– Poślij ich na południe – powiedział. – Daj im złoto. Uśmierciłaś Romulusa. Teraz musisz wynegocjować rozejm. Nie mamy wyboru.

Volusia zwróciła się na powrót ku żołnierzowi Romulusa. Zlustrowała go wzrokiem, nie spiesząc się, napawając się tą chwilą.

– Uczynię, jak prosisz – rzekła. – I poślę was do stolicy.

Dowódca uśmiechnął się z zadowoleniem i już miał odejść, gdy Volusia dała krok naprzód i dodała:

– Lecz nie po to, by ukryć, com uczyniła.

Zatrzymał się i spojrzał na nią, zdezorientowany.

– Poślę was do stolicy, byście przekazali im pewną wiadomość: by dowiedzieli się, że jestem nowym Najwyższym Dowódcą Imperium. Że jeśli pokłonią się teraz przede mną, być może przeżyją.

Dowódca spojrzał na nią zdumiony, po czym z wolna pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Twa matka podobno była równie szalona – powiedział, a następnie odwrócił się i ruszył z powrotem po długiej desce na okręt. – Załadujcie złoto do ładowni – zawołał, nie kłopotząc się nawet, by odwrócić się i spojrzeć na nią.

Volusia obróciła się do swego dowódcy łuczników, który cierpliwie czekał na jej rozkaz, i nieznacznie skinęła głową.

Dowódca natychmiast odwrócił się do swych ludzi i skinął na nich. Rozległ się dźwięk dziesięciu tysięcy podpalanych, zakładanych na cięciwy i wypuszczanych strzał.

Strzały przysłoniły niebo – aż pociemniało – wznosząc się wysokim, płomienistym łukiem i spadły na okręt Romulusa. Wydarzyło się to zbyt szybko, by któryś z ludzi Romulusa zdołał zareagować i niebawem cały okręt stał już w płomieniach. Mężczyźni krzyczeli, a najgłośniej ich dowódca. Młócili rękoma, nie mając dokąd uciec, i usiłowali ugasić płomień.

Na nic się to jednak nie zdało. Volusia ponownie skinęła głową i kolejne serie strzał przecinały powietrze, zasypując płonący okręt. Trafiani mężczyźni krzyczeli, niektórzy osuwali się na pokład, inni wypadali za burtę. Była to rzeź, której nikt nie przeżył.

Na twarzy Volusii gościł szeroki uśmiech. Z satysfakcją przyglądała się, jak okręt powoli zajmuje się ogniem – od dołu aż po maszt. Niebawem przeobraził się w płonące, zwęglone szczątki statku.

Ustawieni w szeregach ludzie Volusii przerwali, cierpliwie czekając na jej rozkaz. Zaległa cisza.

Volusia postąpiła naprzód, dobyła miecza i gwałtownym ruchem odcięła linę mocującą okręt w porcie. Lina zerwała się z trzaskiem i okręt nieznacznie odsunął się od brzegu, a Volusia uniosła jeden ze swych powlekanych złotem butów i pchnęła dziób.

Przypatrywała się, jak okręt zaczyna się poruszać, jak zabiera

go prąd, który – jak wiedziała – zanieśie go na południe, w sam środek stolicy. Wszyscy ujrzą spalony okręt, ciała ludzi Romulusa, strzały z Volusii i będą wiedzieli, że to jej sprawka. Będą wiedzieli, że rozpętała się wojna.

Volusia odwróciła się ku Soku, który stał obok niej z szeroko otwartymi ustami, i uśmiechnęła się.

– W taki sposób – powiedziała. – Proponuję zawarcie pokoju.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gwendolyn klęczała na dziobie okrętu, kurczowo zaciskając dłonie na relingu, aż pobieleły jej kłykcie. Zebrała w sobie wystarczająco dużo siły, by podciągnąć się i spojrzeć ku widnokręgowi. Drżała na całym ciele, osłabiona głodem, a gdy spojrzała w dal, zawirowało jej w głowie. Znalazła jakimś sposobem siłę, by wesprzeć się na relingu, i spojrzała z zadziwieniem na to, co roztaczało się przed nią.

Zmrużyła oczy, próbując dostrzec coś we mgle, i nie wiedziała już, czy to rzeczywistość, czy fatamorgana.

Na widnokręgu rozciągało się bezkresne wybrzeże, pośrodku którego leżało ruchliwe miasto z ogromnym portem. Dwie wielkie, błyszczące złote kolumny strzegły wejścia do niego, wznosząc się wysoko ku niebu. Słońce przewędrowało po niebie, muskając kolumny i miasto żółtawo-zielonym blaskiem. Gwen spostrzegła, że chmury przepływają tutaj szybko. Nie potrafiła stwierdzić, czy to dlatego, że niebo w tej części świata jest tak inne, czy dlatego, że na przemian traciła i odzyskiwała przytomność.

W porcie miasta stało tysiąc wspaniałych okrętów o najwyższych masztach, jakie Gwen kiedykolwiek widziała, powleczonych złotem. Nie widziała nigdy bogatszego miasta niż to wzniesione tuż nad brzegiem, rozciągające się w nieskończoność. Wody oceaniczne rozбивały się o tę wielką

metropolię, przy której Królewski Dwór zdawał się być ledwie pomniejszą osadą. Gwen nie wiedziała, że w jednym miejscu można wznieść tyle zabudowań. Zastanawiała się, kto zamieszkuje to miejsce. Pojęła, że musi to być wielki lud. Lud imperialny.

Gwen poczuła nagły ucisk w żołądku, gdy zorientowała się, że prąd pcha ich ku miastu; niebawem wciągnie ich do wielkiego portu i znajdą się pośród tych okrętów, i zostaną wzięci do niewoli, albo i zabici. Gwen przypomniała sobie, jak okrutny był Andronicus, jak okrutny był Romulus, i wiedziała, że takie zwyczaje panują w Imperium; pomyślała, że może lepiej byłoby, gdyby zginęli na morzu.

Gwen usłyszała szuranie stóp po pokładzie. Obejrzała się i zobaczyła Sandarę, osłabłą z głodu, lecz stojącą dumnie przy relingu. Trzymała w dłoniach spory złoty przedmiot w kształcie byczych rogów, przechylając go tak, by odbijał promienie słoneczne. Gwen patrzyła na świetlne refleksy, tworzące raz za razem tajemnicze znaki na odległym brzegu. Sandara nie mierzyła w stronę miasta, lecz raczej na północ, ku czemuś, co zdawało się być odosobnionym zagajnikiem na brzegu.

Powieki Gwen, ciężkie niby ołów, poczęły opadać. Na przemian traciła i odzyskiwała świadomość i poczuła, że lada moment osunie się na pokład. Przez jej głowę przebiegały różnorakie obrazy. Nie miała już pewności, które z nich były prawdą, a które wytworem udręczonej głodem świadomości. Gwen ujrzała tuziny podłużnych łodzi wylaniające się spośród

gęstego baldachimu dżungli i zmierzające przez rozkołysane morze ku ich okrętowi. Patrzyła na zbliżających się ludzi i z zaskoczeniem ujrzała nie rasę imperialną, nie postawnych wojowników z rogami i czerwoną skórą, lecz jakąś inną. Byli to dumni, muskularni mężczyźni i kobiety o czekoladowej skórze i błyszczących żółtych oczach, o pełnych współczucia, inteligentnych twarzach. Wiosłowali ku nim. Gwen ujrzała, że Sandara patrzy na nich, rozpoznając ich, i pojęła, że to jej pobratymcy.

Gwen usłyszała głuchy odgłos i ujrzała na pokładzie haki i liny. Poczuała, że jej okręt zmienia kierunek i opuściwszy wzrok ujrzała, że podłużne łodzie ciągną ich, naprowadzając na prąd płynący w innym kierunku, nie do imperialnego miasta. Do Gwen z wolna docierało, że ziomkowie Sandary przybywają im z pomocą. Prowadzili ich okręt ku innemu portowi, z dala od imperialnego.

Gwen poczuła, że ich okręt skręca ostro na północ, ku gęstemu baldachimowi drzew, ku niewielkiemu, ukrytemu portowi. Zamknęła oczy, przepelniona ulgą.

Niebawem otworzyła je i ujrzała, że stoi, wychylając się za burtę, obserwując, jak łodzie ciągną jej okręt. Pozbawiona resztek sił Gwendolyn poczuła, że przechyla się zbyt mocno i ześlizguje; w jej oczach pojawiła się panika, gdyż zdała sobie sprawę, że jeszcze chwila, a wypadnie za burtę. Chwyciła się relingu, lecz było już zbyt późno, ciężar jej ciała ciągnął ją już w dół, za burtę.

Serce Gwen zatłukło się w panice; nie mogła uwierzyć, że po wszystkim, przez co przeszła, zginie w ten sposób, że osunie się cicho do morza, gdy znajdują się już tak blisko lądu.

Czując, że spada, Gwen usłyszała nagle warczenie i poczuła, jak silne zęby wpijają się w tył jej sukni. Usłyszała miauczenie i poczuła, jak coś szarpie ją za tył koszuli, odciągając znad toni z powrotem na pokład. Upadła z głuchym odgłosem na deski, na plecy, cała i zdrowa.

Obejrzawszy się ujrzała stojącego nad sobą Krohna i serce jej wypełniła radość. Nie posiadała się ze szczęścia, widząc, że Krohn żyje. Był znacznie chudszy, niż kiedy widziała go ostatni raz, wymizerowany, i dotarło do niej, że w zaistniałym zamieszaniu zapomniała o nim. Ostatni raz widziała go, gdy zniknął pod pokładem podczas wyjątkowo gwałtownego sztormu. Musiał skryć się gdzieś i głodzić się, by inni mieli co jeść. Cały Krohn. Zawsze był niezwykle bezinteresowny. A teraz, gdy zbliżali się znów w stronę lądu, wyszedł na pokład.

Krohn miauczał i lizał Gwen po twarzy, a ona przytuliła go resztką sił. Leżała na plecach, a Krohn obok niej, pomiaukując. Łeb położył na jej piersi, tuląc się do niej jak gdyby nie pozostało mu już żadne inne miejsce na świecie.

*

Gwendolyn poczuła jakiś płyn, słodki i zimny, ściekający strużką na jej wargi, na jej język, po policzkach i szyi. Otworzyła

usta i piła, połykając łapczywie, odzyskawszy świadomość.

Gwen otworzyła oczy, pijąc chciwie. Ujrzała nad sobą jakieś nieznajome twarze. Piła i piła, aż się zachłysnęła.

Ktoś podtrzymał ją i usiadła, zanosząc się niekontrolowanym kaszlem. Ktoś poklepał ją po plecach.

– Ciii – dobiegł ją głos. – Pij powoli.

Był to łagodny głos, głos uzdrowiciela. Gwen obejrzała się i zobaczyła starca o pooranej bruzdami twarzy. Gdy się uśmiechnął, całą jego twarz pokryła siatka zmarszczek.

Gwen rozejrzała się i ujrzała tuziny nieznajomych twarzy, pobratymców Sandary, przyglądających się jej bacznie w milczeniu, jak gdyby była jakimś dziwadłem. Gwendolyn, nękana pragnieniem i głodem, wyciągnęła dłoń i niczym opętana, chwyciła bukłak i wlała sobie znajdujący się w nim słodki płyn do ust. Piła i piła, zaciskając zęby na końcówce, jak gdyby nigdy w życiu miała już nic nie pić.

– Powoli – dobiegł ją głos mężczyzny. – Albo rozchorujesz się.

Gwen rozejrzała się i ujrzała na swym okręcie tuziny wojowników, pobratymców Sandary. Spostrzegła swych poddanych – mieszkańców Kręgu, którzy przetrwali – leżących, kłęczących i siedzących. Każdego z nich doglądał jeden z ziomeków Sandary, każdy otrzymał bukłak, by móc się napić. Wszyscy powracali do życia. Gwen spostrzegła wśród nich Illeprę. Trzymała w ramionach dziecko, które Gwen ocaliła na Wyspach Górnych, i karmiła je. Gwen z ulgą usłyszała płacz

dziecka; oddała je Illeprze, gdy stała się zbyt słaba, by utrzymać je w ramionach. Ujrawszy, że przeżyło, Gwen pomyślała o Guwaynie. Była zdeterminowana, by ta dziewczynka przeżyła.

Z każdą chwilą Gwen czuła, że wracają jej siły. Usiadła i pociągnęła kolejny łyk, zastanawiając się, co kryje wewnątrz bukłaku. Serce wypełniała jej wdzięczność względem tych ludzi. Ocalili im wszystkim życie.

Obok Gwen rozległo się miauczenie i opuściwszy wzrok Gwen ujrzała Krohna. Leżał wciąż na pokładzie, z łbem wspartym na jej udzie; sięgnęła do niego i podała mu płynu z bukłaka, a on począł spijać go z wdzięcznością. Z uczuciem przesunęła dłonią po jego łbie; po raz kolejny ocalił jej życie. Jego widok przywiódł jej na myśl Thora.

Gwen potoczyła spojrzeniem po wszystkich pobratymcach Sandary, nie wiedząc, jak im dziękować.

– Ocaliliście nas – powiedziała. – Zawdzięczamy wam życie.

Gwen obróciła się i spojrzała na Sandarę, która zbliżyła się i przyklękła przy niej, kręcąc głową.

– Mój lud nie wierzy w zaciąganie długów – rzekła. – Wyratowanie kogoś z opresji to dla nich wielki honor.

Tłum rozstał się i spojrzawszy w tamtą stronę Gwen ujrzała mężczyznę o surowym wyrazie twarzy, który zdawał się być ich przywódcą. Przekroczył może pięćdziesiąty rok życia, miał mocno zarysowaną szczękę i wąskie usta. Zbliżył się w jej stronę. Przykucnął przed nią i skłonił się lekko. Na szyi zawieszony miał spory turkusowy naszyjnik z muszli, które połyskiwały w

słońcu. Jego żółte oczy pełne były współczucia, gdy lustrował ją wzrokiem.

– Na imię mi Bokbu – powiedział głębokim, apodyktycznym głosem. – Odpowiedzieliśmy na znak Sandary, gdyż jest jedną z nas. Przyjeliśmy was, ryzykując własne życie. Gdyby Imperium nas teraz z wami spostrzegło, zabiliby nas.

Bokbu podniósł się, oparłszy ręce na biodrach, i Gwen także powoli wstała, przy pomocy Sandary i ich uzdrowiciela. Stała naprzeciw niego. Bokbu westchnął, przesuwając wzrokiem po jej ludziach i przenosząc go na okręt w opłakanym stanie.

– Teraz, kiedy już im lepiej, muszą odejść – dobiegł ich głos. Gwen obróciła się i ujrzała muskularnego wojownika z włócznią w dłoni. Podobnie jak pozostali, miał nagą pierś. Stał obok Bokbu i posłał mu zimne spojrzenie.

– Odeślij tych obcych z powrotem za morze – dodał. – Dlaczego mielibyśmy przelewać za nich krew?

– Ja jestem z waszej krwi – rzekła Sandara, wychodząc naprzód i mierząc wojownika surowym spojrzeniem.

– I dlatego nie powinnaś była sprowadzać tych ludzi tutaj i narażać nas wszystkich – odwarknął.

– Przynosisz hańbę naszemu ludowi – powiedziała Sandara. – Czyżby obce ci były prawa gościnności?

– To, żeś ich tu przyprowadziła, jest hańbą – odciął się. Bokbu wyciągnął ku nim dłonie, a oni ucichli.

Stał z kamiennym wyrazem twarzy i zdawał się zastanawiać. Gwendolyn przysłuchiwała się wymianie ich zdań i dotarło

do niej, w jak niepewnej sytuacji się znaleźli. Wiedziała, że wyruszenie na powrót na morze oznaczałoby natychmiastową śmierć; nie chciała jednak narażać na niebezpieczeństwo tych, którzy przyszli jej z pomocą.

– Nie chcemy, by spotkała was krzywda – powiedziała, zwracając się ku Bokbu. – Nie chcę, byście znaleźli się w niebezpieczeństwie. Możemy wyruszać w dalszą drogę.

Bokbu pokręcił głową.

– Nie – powiedział. Spojrzał na Gwen, przypatrując się jej z czymś pokroju podziwu. – Dlaczegoś przywiodła tutaj swój lud? – zapytał.

Gwen westchnęła.

– Zbiegliśmy przed wielką armią – powiedziała. – Zniszczyli naszą ojczyznę. Przybyliśmy tu w poszukiwaniu nowego domu.

– Przybyliście w złe miejsce – odezwał się wojownik. – To miejsce nie stanie się waszym domem.

– Zamilcz! – powiedział do niego Bokbu, rzucając mu gniewne spojrzenie, i wojownik wreszcie ucichł.

Bokbu zwrócił się ku Gwendolyn. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Jesteś dumną i szlachetną kobietą – powiedział. – Widać, że jesteś przywódczynią. Dobrze prowadziłaś swój lud. Jeśli powrócicie na morze, z pewnością umrzecie. Może nie dziś, lecz z całą pewnością w ciągu kilku dni.

Gwendolyn patrzyła na niego, nieugięta.

– Zatem umrzemy – odparła. – Nie pozwolę na to, by twoi ludzie zginęli po to, byśmy my mogli żyć.

Nie odwróciła wzroku, patrząc na niego z kamiennym wyrazem twarzy, czerpiąc siłę ze swej szlachetności i dumy. Spostrzegła, że Bokbu patrzy na nią z nowym szacunkiem. Gęsta cisza zaległa w powietrzu.

– Widzę, że płynie w tobie krew wojownika – powiedział. – Pozostaniecie z nami. Twoi ludzie będą dochodzić tu do siebie, aż ponownie nabiorą sił. Bez względu na to, ile księżyców będzie musiało upłynąć.

– Ale panie... – zaczął wojownik.

Bokbu obrócił się i spojrzał na niego surowo.

– Podjąłem decyzję.

– A co z ich okrętem? – zaprotestował. – Jeśli pozostanie w porcie, Imperium go spostrzeże. Zginiemy wszyscy, nim ubędzie księżyca!

Wódz podniósł wzrok na maszt, następnie przeniósł go na okręt, przyglądając się mu bacznie. Gwen rozejrzała się po ziemiach wokoło. Spostrzegła, że wciągnęli ich do ukrytego portu, otoczonego gęstym baldachimem drzew. Odwróciła się i ujrzała za sobą otwarte morze. Wiedziała, że mężczyzna ma rację.

Wódz spojrzał na nią i skinął głową.

– Pragniesz ocalić swój lud? – zapytał.

Gwen przytaknęła stanowczo.

– Tak.

Skinął głową.

– Przywódcy muszą podejmować trudne decyzje –

powiedział. – Teraz nadszedł czas, byś ty podjęła jedną z nich. Pragniecie pozostać z nami, lecz wasz okręt sprowadzi śmierć na nasz wszystkich. Twój lud jest tu mile widziany, ale wasz okręt nie może tu pozostać. Musicie go spalić. Wtedy was przyjmujemy.

Gwendolyn stała przed wodzem i serce ścisnęło jej się na samą myśl. Spojrzała na okręt – okręt, którym przepławili się przez morze, który ocalił jej ludzi przed niebezpieczeństwem na drugim końcu świata – i serce jej się ścisnęło. Kłębiły się w niej sprzeczne emocje. Ten okręt był jej jedyną drogą ratunku.

Z drugiej jednak strony – jakiego ratunku? Powrotu na bezkresny ocean śmierci? Jej ludzie ledwie byli w stanie ustać na nogach; musieli powrócić do sił. Potrzebowali schronienia. A jeśli ceną za życie było spalenie tego okrętu, niech tak będzie. Jeśli zdecydują się powrócić na morze, znajdą inny okręt, albo go wybudują, uczynią, co tylko będzie konieczne. Teraz musieli martwić się o to, by przeżyć. To liczyło się nade wszystko.

Gwendolyn spojrzała na niego i skinęła głową z powagą.

– Niech tak będzie – powiedziała.

Bokbu skinął ku niej głową z wielkim szacunkiem. Następnie odwrócił się i wykrzyczał rozkaz. Dokoła niego jego ludzie przystąpili do działania. Rozpierzchli się po okręcie, pomagając mieszkańcom Kręgu, stawiając na nogi jednego po drugim, prowadząc ich w dół po desce na piaszczysty brzeg. Gwen stała i patrzyła, jak Godfrey, Kendrick, Brandt, Atme, Aberthol, Illepra i Sandara, i wszyscy ci, których kochała najbardziej na świecie, mijają ją.

Stała, czekając aż ostatnia osoba opuści okręt, aż pozostała tam jedynie ona i Krohn przy jej nodze, a obok niej stojący w milczeniu wódz.

Bokbu trzymał w dłoni płonąca pochodnię, którą podał mu jeden z jego ludzi. Pochylił się, by podłożyć ogień.

– Nie – powiedziała Gwen, wyciągając rękę i chwytając go za przegub dłoni.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Przywódca sam musi dokonać zniszczenia tego, co do niego należy – powiedziała.

Gwen chwyciła ostrożnie ciężką, płonąca pochodnię, odwróciła się i ocierając łzę przyłożyła ją do płóciennego żagla złożonego na pokładzie.

Stała, patrząc jak żagiel zajmuje się ogniem, który rozprzestrzeniał się coraz szybciej i szybciej, biegnąc wkrótce po całym okręcie.

Rzuciła pochodnię. Żar wzrastał się z każdą chwilą. Odwróciła się – Krohn i Bokbu poszli w jej ślady – i zeszła po desce ku plaży, ku swemu nowemu domowi, ku ostatniemu miejscu na świecie, w którym mogli się schronić.

Rozglądając się po obcej dżungli, słuchając dziwacznych wrzasków ptaków i zwierząt, których nie rozpoznawała, Gwen zastanawiała się tylko nad jednym:

Czy będą w stanie stworzyć tutaj dom?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Alistair klęczała na kamieniach, a kolana drżały jej od chłodu. Patrzyła na pierwsze promienie pierwszego słońca, które wdzierały się na Wyspy Południowe, zalewając miękkim światłem góry i doliny. Dłonie jej, zakute w drewniane dyby, drżały. Klęczała, opierając się na dłoniach i kolanach. Jej szyja spoczywała na miejscu, w którym spoczywało już tak wiele głów. Opuściła wzrok i spostrzegła na drewnie plamy krwi, nacięcia w cedrze w miejscach, w których wcześniej opadało ostrze. Wyczuwała tragiczną energię drewna, gdy dotykała go jej szyja, czuła ostatnie chwile, ostatnie emocje straconych tu przed nią. Serce ścisnęło jej się z bóleści.

Alistair podniosła dumny wzrok i spojrzała na ostatni wschód słońca w swym życiu, patrzyła, jak budzi się nowy dzień. Nie opuszczało jej nierealne uczucie, że nie ujrzy go już nigdy. Rozkoszowała się nim jak nigdy wcześniej. Wiała delikatna bryza i rozglądając się wokoło tego rześkiego poranka Alistair zdało się, że Wyspy Południowe nigdy nie wyglądały piękniej. Były najurodziwszym miejscem, jakie widziała. Drzewa pyszniły się kwieciami w odcieniach oranżu, czerwieni, różu i fioletu, a owoce zwieszały się obficie nad tymi urodzajnymi ziemiemi. Fioletowe poranne ptaki i ogromne oranżowe pszczoły uwijały się już w powietrzu, a słodka woń kwiatów niosła się w jej stronę. Mgła połyskiwała w świetle, nadając otoczeniu magii.

Do żadnego miejsca nie była nigdy tak przywiązana; na tych ziemiach – wiedziała to – z chęcią pozostałaby już na zawsze.

Alistair usłyszała, że ktoś w zbyt dużych butach szura po kamieniach i zerknąwszy za siebie ujrzała zbliżającego się Bowyera. Zatrzymał się nad nią. W dłoni trzymał sporych rozmiarów dwusieczny topór, który zwieszał się luźno u jego boku. Spojrzawszy na nią, zmarszczył brwi.

Za jego plecami, na rozległym kamiennym placu, Alistair ujrzała setki lojalnych mu wyspiarzy, ustawionych w szeregach w ogromnym kręgu dokoła niej. Stali dobre dwadzieścia jardów od niej, pozostawiając duży pusty plac dla niej i Bowyera. Nikt nie chciał być zbyt blisko, gdy rozbryźnie się krew.

Bowyer przebierał niespokojnie palcami, wyraźnie pragnąc zakończyć tę sprawę. Widziała w jego oczach, jak wielka jest jego żądza objęcia tronu.

Alistair czerpała przynajmniej przyjemność z jednego: choć nie było to sprawiedliwe, jej poświęcenie pozwoli Erecowi żyć. Znaczyło to dla niej więcej niż jej własne życie.

Bowyer dał krok naprzód, pochylił się nisko i wyszeptał do niej cicho, tak, by nikt inny nie usłyszał jego słów:

– Bądź spokojna, zginiesz od szybkiego ciosu – powiedział, a ona poczuła jego cuchnący oddech na szyi. – Erec także.

Alistair podniosła na niego pełen niepokoju, skołowany wzrok.

Uśmiechnął się do niej – był to niewielki uśmiech przeznaczony jedynie dla niej, którego nikt inny nie dostrzegł.

– Zgadza się – wyszeptał. – Może nie zdarzy się to dzisiaj, może nie przez wiele księżyców. Lecz jednego dnia, gdy najmniej będzie się tego spodziewał, mąż twój znajdzie mój nóż w swych plecach. Chciałem, byś o tym wiedziała, nim poślę cię do piekła.

Bowyer dał dwa kroki w tył, zacisnął mocno dłonie wokół trzonu topora, gotując się do zadania ciosu.

Alistair klęczała, a serce jej tłukło się jak oszalałe w piersi. Dotarło do niej, jak zły jest ten człowiek. Był nie tylko ambitny. Był także tchórzem i łgarzem.

– Uwolnijcie ją! – dobiegł ich nagle władczy głos, przerywając poranny spokój.

Alistair obróciła się na tyle, na ile było to możliwe, i ujrzała jakieś zamieszanie. Dwie postaci wyrwały się z tłumu na skraj placu, gdzie zatrzymały je wielkie łapy strażników Bowyera. Alistair, zaskoczona i wdzięczna, spostrzegła matkę i siostrę Ereca. Patrzyły na nich rozgorączkowane.

– Jest niewinna! – zawołała matka Ereca. – Nie możesz jej zabić.

– Zabiłbyś kobietę?! – wrzasnęła Dauphine. – Nie pochodzi stąd. Wypuść ją. Odeślij na jej ziemie. Nasze sprawy jej nie dotyczą.

Bowyer odwrócił się ku nim i zagrzmiał:

– Nie pochodzi stąd, lecz pragnęła zostać naszą królową. I zamordować naszego poprzedniego króla.

– Łżesz! – zawołała matka Ereca. – Nie wypiłbyś wody z

fontanny prawdy.

Bowyer przyjrzał się uważnie twarzom w tłumie.

– Czy jest tutaj ktoś, kto odważy się podważyć moje prawo do tronu? – krzyknął, obracając się, wodząc po wszystkich wyzywającym wzrokiem.

Alistair rozejrzała się dokoła z nadzieją; lecz wszyscy mężczyźni, wszyscy ci mężni wojownicy, w większości z krwi Bowyera, jeden po drugim spuszczaali wzrok. Żaden z nich nie chciał zetknąć się z nim w boju.

– Jestem waszym czempionem – zagrział Bowyer. – Pokonałem wszystkich przeciwników w dniu turnieju. Nikt tutaj mnie nie zwycięży. Żaden z was. Jeśli ktoś sądzi inaczej, niech wyjdzie naprzód.

– Żaden poza Erekiem! – zawołała Dauphine.

Bowyer obrócił się i spojrział na nią spode łba.

– I gdzież on teraz jest? Kona. My, wyspiarze, nie chcemy kaleki za króla. *Ja* jestem waszym królem. Jestem waszym drugim najlepszym czempionem. Tak stanowią prawa tych ziem. Tak jak ojciec mego ojca był królem, nim został nim ojciec Ereca.

Matka Ereca i Dauphine rzuciły się naprzód, by go powstrzymać; jego żołnierze jednak chwycili je i odepchnęli, zatrzymując w miejscu. Obok nich Alistair dostrzegła brata Ereca, Stroma, ze skępowanymi za plecami rękoma; on także się szarpał, lecz nie potrafił się wyrwać.

– Zapłacisz za to, Bowyerze – zawołał Strom.

Bowyer zignorował go. Odwrócił się ku Alistair, która wyczytała z jego oczu, że zdecydowany był kontynuować. Nadszedł na nią czas.

– Czas nie sprzyja oszustom – rzekła do niego Alistair.

Spojrzał na nią gniewnie; najwyraźniej zdenerwowała go.

– I te słowa będą twymi ostatnimi – powiedział.

Szybkim ruchem Bowyer uniósł topór wysoko nad głowę.

Alistair zamknęła oczy, wiedząc że już za chwilę nie będzie jej na tym świecie.

Przymknąwszy powieki poczuła, że czas zwalnia. Przez głowę przepływały jej różnorakie obrazy. Ujrzała swe pierwsze spotkanie z Erekiem, jeszcze w Kręgu, w zamku księcia, gdzie była dziewczką służebną i gdzie zakochała się w nim, gdy tylko jej oczy na nim spoczęły. Czowała jak jej miłość do niego, miłość, którą czuła do dziś, płonie wewnątrz niej. Ujrzała swego brata, Thorgrina, jego twarz, lecz z jakiegoś powodu nie ujrzała go w Kręgu, w Królewskim Dworze, lecz w jakiejś odległej krainie, na wodach odległego oceanu, z dala od Kręgu. Przede wszystkim widziała jednak swą matkę. Ujrzała ją stojącą na skraju klifu, przed jej zamkiem, wysoko nad oceanem, przed mostem. Ujrzała, że wyciąga ku niej ręce i uśmiecha się czule.

– Córkko moja – powiedziała.

– Matko – odrzekła Alistair. – Dołączę do ciebie.

Jednak ku jej zaskoczeniu matka powoli zaprzeczyła ruchem głowy.

– Twój czas jeszcze nie nadszedł – powiedziała. – Twe

przeznaczenie na tej ziemi jeszcze się nie wypełniło. Wciąż czeka cię wielkie przeznaczenie.

– Ale jak, matko? – zapytała. – Jakim sposobem mam przeżyć?

– Jesteś większa niż ta ziemia – odrzekła jej matka. – Ta broń, ten śmiertcionośny metal, pochodzi z tej ziemi. Twe kajdany pochodzą z tej ziemi. To ziemskie ograniczenia. Są nimi jedynie wtedy, gdy w nie wierzysz, gdy pozwalasz im, by sprawowały nad tobą władzę. Jesteś duchem, światłem i energią. W tym tkwi twa prawdziwa moc. Jesteś ponad tym wszystkim. Pozwalasz, by powstrzymały cię fizyczne ograniczenia. Problem twój nie polega na braku siły; jest nim brak wiary. Wiary w siebie. Jak silna jest twa wiara?

Alistair klęczała, trzęsąc się na całym ciele, z zamkniętymi oczyma, a pytanie jej matki rozbrzmiewało jej w głowie.

Jak silna jest twa wiara?

Alistair zagłębiła się w sobie, zapomniała o kajdanach, pozwoliła, by zawładnęła nią jej wiara. Poczęła porzucać wiarę w fizyczne ograniczenia tej planety i miast tego przeniosła ją na najwyższą siłę, jedyną najwyższą siłę sprawującą władzę nad wszystkim innym w świecie. Siłę, która – jak wiedziała Alistair – stworzyła ten świat. Siłę, która stworzyła to wszystko. Z tą siłą musiała się sprzymierzyć.

Wtem – wszystko to działo się w ułamku sekundy – Alistair poczuła, jak po jej ciele rozchodzi się ciepło. Czowała, że płonie, że jest niezwykcieżona, większa niż wszystko wokół niej. Czowała,

że z jej dłoni wychodzą płomienie, czuła, jak w głowie huczy jej od natłoku myśli i jak w jej czole, pomiędzy oczyma, rodzi się wielki żar. Poczwała, że jest silniejsza niż wszystko, silniejsza niż jej pięta, silniejsza niż wszystkie materialne rzeczy.

Alistair otworzyła oczy i gdy czas powrócił do swego normalnego biegu, podniosła wzrok i ujrzała Bowyera, opuszczającego topór z grymasem gniewu na twarzy.

Jednym ruchem Alistair odwróciła się i uniosła ręce, a dyby złamały się z trzaskiem niby gałązki. W tym samym ruchu, z prędkością światła podniosła się, uniosła jedną dłoń w stronę Bowyera i gdy jego topór opadł, zdarzyło się coś niezwykłego: broń rozsypała się. Przemieniła się w popiół i osypała u jej stóp.

Bowyer zamachnął się z pustymi dłońmi i zatoczył, aż upadł na kolana.

Alistair obróciła się raptownie i jej wzrok przykuł miecz po drugiej stronie placu, zatknięty u pasa jednego z żołnierzy. Wyciągnęła dłoń i rozkazała orężowi, by przybył do niej; wtedy miecz wysunął się z pochwy i przeciąwszy powietrze, wpadł prosto w jej wyciągniętą dłoń.

Jednym ruchem Alistair schwyciła broń, obróciła się, uniosła ją wysoko i opuściła na tył odsłoniętej szyi Bowyera.

Zaszokowany tłum wydał z siebie stłumiony okrzyk, gdy rozległ się odgłos stali przecinającej ciało i Bowyer, pozbawiony głowy, osunął się martwy na ziemię.

Legł martwy dokładnie w tym samym miejscu, w którym ledwie kilka chwil wcześniej pragnął zabić Alistair.

W tłumie rozległ się krzyk i obejrzawszy się Alistair ujrzała, że Dauphine wyrywa się żołnierzowi z rąk, chwytając przypięty u jego pasa sztylet i podrzyna mu gardło. W tym samym ruchu okręciła się i rozcięła sznur kłępujący Stroma. Strom natychmiast sięgnął ręką w tył, chwycił miecz jednego z żołnierzy, okręcił się i ciał, zabijając trzech ludzi Bowyera, nim zdążyli zareagować.

Po śmierci Bowyera nastąpiła chwila zawahania, tłum wyraźnie nie wiedział, jak postąpić. Wokoło poniosły się krzyki. Jego śmierć ośmieliła tych, którzy niechętnie przystąpili do sojuszu z nim. Ponownie obrali strony i tuziny ludzi lojalnych Erecowi wyrwały się z szeregu i rzuciły, by stanąć do walki u boku Stroma, by stanąć do walki przeciw tym, którzy pozostali lojalni Bowyerowi.

Szala zwycięstwa szybko przechyliła się na korzyść ludzi Ereci, gdy jeden po drugim, rząd za rzędem stawali do walki; ludzie Bowyera, zbici z tropu, odwracali się i uciekali ku skalistemu zboczowi. Strom i jego ludzie deptali im po piętach.

Alistair stała, nadal trzymając miecz w dłoni, i patrzyła, jak wokoło rozpętuje się wielka wojna. Krzyki i dźwięki rogów niosły się echem, i cała wyspa zdawała się gromadzić, przyłączając do walki po jednej z dwu stron. Szczęk zbroi i przedśmiertne krzyki mężczyzn niosły się w porannym powietrzu i Alistair wiedziała, że rozgorzała wojna domowa.

Alistair uniosła w górę miecz, promienie słońca odbijały się od klingi. Wiedziała, że ocaliła ją boża łaska. Czuła,

że odrodziła się bardziej potężna niż kiedykolwiek i że jej przeznaczenie ją przyzywa. Przepęłniał ją optymizm. Wiedziała, że ludzie Bowyera zostaną zabici. Sprawiedliwość zwycięży. Erec przebudzi się. Nastąpią ich zaślubiny. I wkrótce zostanie królową Wysp Południowych.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Darius biegł prowadzącą ze wsi drogą, wznecając tumany kurzu. Podążał za śladami stóp w stronę Volusii. W jego sercu płonęła żądza ocalenia Loti i zamordowania mężczyzn, którzy ją zabrali. Biegł z mieczem w dłoni – *prawdziwym* mieczem, z *prawdziwego* metalu. Po raz pierwszy w życiu władał prawdziwym metalem. Wiedział, że już samo to wystarczyłoby, by zabito jego i całą jego wieś. Stał była zakazana – nawet jego ojciec i ojciec jego ojca obawiali się ją posiadać – i Darius wiedział, że przekroczył granicę, zza której nie było odwrotu.

Darius nie dbał już jednak o nic. Zbyt wiele w jego życiu było niesprawiedliwości. Loti zniknęła i zależało mu jedynie na tym, by ją odzyskać. Ledwie zdążył ją poznać, a jednak paradoksalnie czuł, że jest całym jego światem. Co innego, gdyby to jego obrali na niewolnika; lecz obrali ją – a tego już było zbyt wiele. Nie mógł pozwolić na to, by ją zabrali i nadal uważać się za mężczyznę. Wiedział, że jest chłopcem, lecz stawał się mężczyzną. I dotarło do niego, że to decyzje takie jak ta, te trudne, których nikt inny nie ważył się podjąć – to właśnie dzięki nim chłopiec przeistaczał się w mężczyznę.

Darius pędził drogą, aż krople potu spływały mu na oczy. Dyszał ciężko. W pojedynkę gotów był stawić czoła całej armii, całemu miastu. Nie było innego wyjścia. Musiał odnaleźć Loti i sprowadzić ją z powrotem albo zginać, próbując to uczynić.

Wiedział, że jeśli mu się nie powiedzie – a nawet wtedy, kiedy się mu powiedzie – ściągnie zemstę na całą swoją wieś, swą rodzinę, wszystkich swych pobratymców. Gdyby pomyślał nad tym dłużej, może nawet i by zawrócił.

Kierowało nim jednak coś silniejszego niż chęć przeżycia, niż ratowanie własnej rodziny i pobratymców. Kierowało nim pragnienie sprawiedliwości. Żądza wolności. Pragnienie, by odepchnąć swego ciemieżcę i być wolnym, nawet jeśli jedynie przez chwilę. Jeśli nie dla siebie, pragnął uczynić to dla Loti. By była wolna.

Dariuszem kierowały namiętności, nie logika. Chodziło o miłość jego życia, nadto zbyt wiele wycierpiał już z rąk Imperium. Nie dbał już o nic, nie zważał na konsekwencje. Musiał pokazać im, że wśród jego ludu jest jeden człowiek – choćby tylko jeden, choćby tylko chłopiec – który nie będzie znosił tego, jak go traktują.

Darius biegł i biegł drogą wijącą się pomiędzy znanymi mu polami, aż wreszcie dotarł na obrzeża Volusii. Wiedział, że już samo to, że zapuścił się tak blisko tego miasta skończyłoby się jego śmiercią, gdyby go znaleziono. Podążał za śladami, zdwoiwszy tempo. Widział, że zerta stawia nogi blisko siebie, wiedział więc, że poruszali się powoli. Wiedział, że jeśli pospieszy się, dogoni ich.

Darius ominął pagórek, z trudem łapiąc powietrze, i wreszcie w oddali ujrzał to, czego wypatrywał: może ze sto jardów przed nim stała Loti. Jej szyję oplatało grube żelazo, od

którego odchodził długi łańcuch, długi na dobre dwadzieścia stóp, przypięty do tyłu uprząży zerty. Zerty dosiadał imperialny nadzorca, ten, który zabrał Loti. Zwrócony był do niej plecami, a obok niego szło dwóch żołnierzy imperialnych w grubych czarno-złotyach zbrojach Imperium, odbijających promienie słoneczne. Byli niemal dwukrotnie więksi od Dariusa i budzili grozę. Wyposażeni byli w najświetniejszy oręż i dysponowali posłuszną im zertą. Dariusz wiedział, że trzeba by zastępów niewolników, by pokonać tych mężczyzn.

Nie pozwolił jednak, by strach stanął mu na drodze. Prowadziły go jedynie siła jego ducha i zaciekle determinacja i wiedział, że to będzie musiało wystarczyć.

Dariusz biegł i biegł ku niespodziewającej się niczego karawanie i wkrótce dogonił ich. Przyskoczył do Loti od tyłu, uniósł wysoko miecz i gdy dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona, uderzył w łańcuch przykuwający ją do zerty.

Loti wykrzyknęła i odskoczyła, zaszokowana, gdy Dariusz uwolnił ją, przeciąwszy łańcuchy. Charakterystyczny szczęk metalu poniósł się w powietrzu. Loti stanęła, wolna, z kajdanami wciąż na szyi i łańcuchem zwisającym na piersi.

Dariusz odwrócił się i ujrzał taki sam wyraz zaskoczenia na twarzy imperialnego nadzorcy niewolników, który patrzył na niego z góry ze swego siedziska na zercie. Żołnierze idący obok także się zatrzymali, zdumieni widokiem Dariusa.

Dariusz stał, wyciągając przed siebie w drżących dłoniach swój stalowy miecz, zdecydowany nie okazać strachu, stając pomiędzy

nimi a Loti.

– Ona nie należy do was – zawołał Darius trzęsącym się głosem. – Jest wolną kobietą. Wszyscy jesteście wolni!

Żołnierze podnieśli wzrok na nadzorcę.

– Chłopcze – zawołał do Dariusza. – Popełniłeś właśnie największy błąd swojego życia.

Skinął głową do żołnierzy, którzy unieśli miecze i ruszyli na niego.

Darius nie cofnął się, ściskając miecz w drżących dłoniach, i wtedy poczuł, jak z góry spoglądają na niego jego przodkowie. Poczuł, że spoglądają na niego wszyscy niewolnicy, którzy kiedykolwiek zostali zabici, że wspierają go. I poczuł, jak wzbiera w nim ogromne ciepło.

Darius poczuł, jak skryta głęboko wewnątrz niego moc poczyna się poruszać, chce wydostać się na zewnątrz. Nie pozwolił sobie jednak na to. Pragnął walczyć z nimi jak mężczyzna z mężczyzną, pobić ich jak każdy inny, wykorzystać szkolenie ze swymi towarzyszami broni. Pragnął zwyciężyć jak mężczyzna, walczyć jak mężczyzna prawdziwym metalowym orężem i pokonać ich na swych własnych warunkach. Zawsze był szybszy niż wszyscy starsi chłopcy z długimi, drewnianymi mieczami w dłoniach, o muskularnych sylwetkach, nawet niż chłopcy dwukrotnie od niego więksi. Zaparł się w miejscu i zebrał w sobie, widząc jak biegną ku niemu.

– Loti! – zawołał, nie odwracając się. – UCIEKAJ! Wracaj do wsi!

– NIE! – odkrzyknęła.

Dariusz wiedział, że musi coś uczynić; nie mógł stać i czekać, aż go dopadną. Wiedział, że musi ich zaskoczyć, zrobić coś, czego nie będą się spodziewać.

Rzucił się raptownie naprzód, wybierając jednego z dwu żołnierzy i biegnąc wprost na niego. Starli się pośrodku piaszczystego placu. Dariusz wydał z siebie głośny krzyk bitewny. Żołnierz zamachnął się mieczem na jego głowę, lecz on uniósł miecz i zablokował cios, aż posypały się skry. Dariusz po raz pierwszy poczuł uderzenie metalu o metal. Broń była cięższa niż sądził, a cios żołnierza potężniejszy. Poczuł silne drganie, aż zatrzęsała mu się cała dłoń, przez łokieć do ramienia. Zbiło go to z pantałyku.

Żołnierz okręcił się żywo, mierząc, by zadać Dariuszowi cios od boku, a Dariusz obrócił się i zablokował go. Nie było to podobne do szkolenia się z braćmi; Dariusz czuł, że porusza się wolniej niż zwykle, że miecz mu ciąży. Musiał przywyknąć. Miał wrażenie, że żołnierze poruszają się dwukrotnie szybciej niż on.

Mężczyzna zamachnął się ponownie i do Dariusza dotarło, że nie pokona go, walcząc cios za cios; musiał wykorzystać inne swe umiejętności.

Usunął się, unikając ciosu miast przyjmując go, i wałnął żołnierza łokciem w gardło. Wymierzył idealnie. Mężczyzna zakrztusił się i zatoczył w tył, i zgiął w pół, chwytając się za gardło. Dariusz uniósł miecz, opuścił trzonem na jego odsłonięte plecy i posłał go twarzą w piach.

W tym czasie drugi żołnierz biegł już na niego i Darius okrzykiem się, uniósł miecz i zablokował potężny cios, który nakierowany był na jego twarz. Żołnierz jednak nie ustawał, mocno spychając Dariusza w tył, na ziemię.

Wylądowali na twardej ziemi w ogromnym obłoku pyłu i Darius poczuł, jak leżący na nim żołnierz przygniata mu klatkę piersiową. Mężczyzna wypuścił miecz z rąk i wyciągnął przed siebie dłonie, usiłując wydlubać Dariusowi oczy palcami.

Darius chwycił go za przeguby dłoni, odpychając je drżącymi rękoma, lecz tracił siłę. Wiedział, że szybko musi coś zrobić.

Uniósł kolano i obrócił się, i zdołał odepchnąć mężczyznę w bok. Jednocześnie sięgnął w dół i chwycił długi sztylet, który spostrzegł u jego pasa – w tym samym ruchu uniósł broń wysoko i zatopił w piersi mężczyzny, przetaczając się z nim po ziemi.

Żołnierz krzyknął, a Darius leżał na nim i patrzył, jak kona na jego oczach. Darius leżał znieruchomiały, zaszokowany. Po raz pierwszy zabił człowieka. Było to nierzeczywiste przeżycie. Czuł, że odniósł zwycięstwo, lecz zarazem odczuwał smutek.

Darius usłyszał dochodzący z tyłu krzyk, dzięki któremu otrząsnął się. Odwróciwszy się ujrzał, że drugi żołnierz, ten, którego powalił, podnosi się i pędzi w jego stronę. Uniósł miecz i zamachnął się na jego głowę.

Darius odczekał, skupiony, po czym uchylił się w ostatniej chwili; żołnierz zatoczył się obok niego.

Darius wyciągnął sztylet z piersi trupa i obrócił się raptownie, i w chwili gdy żołnierz odwrócił się i natarł, Darius, klęcząc,

wnychnął się w przód i cisnął nim.

Patrzył, jak broń leci, obracając się wokoło siebie i wreszcie zatapia się w sercu mężczyzny, przesywszy jego zbroję. Imperialna stal, której żadna inna nie mogła się równać, została użyta przeciw Imperium. Być może, pomyślał Darius, nie trzeba było wykuwać tak ostrego oręża.

Żołnierz osunął się na kolana, wybałuszył oczy i upadł na bok, martwy.

Darius usłyszał za sobą głośny wrzask. Skoczył na równe nogi i obrócił się raptownie. Ujrzał, że nadzorca schodzi z zerty. Z utkwionym w Dariusie gniewnym spojrzeniem dobył miecza i ruszył na niego z głośnym krzykiem.

– Teraz będę musiał uśmiercić cię własnoręcznie! – powiedział. – Jednak nie tylko cię uśmiercę. Będę cię torturował, a także całą twoją rodzinę i wieś, i to powoli!

Biegł na Dariusa.

Imperialny nadzorca był, rzecz oczywista, świetniejszym żołnierzem niż pozostali, wyższym i szerszym w barach, w lepszej zbroi. Był zahartowanym w bojach wojownikiem, najlepszym, naprzeciw którego Darius kiedykolwiek stanął. Darius musiał przyznać, że odczuł strach przed tym przeciwnikiem – nie pozwolił sobie jednak go okazać. Zdecydowany był miast tego przewyciężyć go, nie pozwolić sobie na to, by odebrało mu to odwagę. To zwykły człowiek, rzekł sobie Darius. A każdy człowiek może upaść.

Każdy człowiek może upaść.

Nadzorca niewolników zbliżył się do niego, machając oburącz swym wielkim mieczem, błyszczącym w słońcu. Darius uniósł swój miecz. Przeniósł ciężar ciała i zablokował cios; mężczyzna zamachnął się ponownie.

Z lewej i z prawej, raz za razem, żołnierz ciął, a Darius zatrzymywał ciosy. W uszach rozbrzmiewał im głośny szcęk metalu, a dokoła sypały się skry. Mężczyzna spychał go w tył coraz dalej i dalej i Darius musiał użyć całej swej siły, by tylko blokować ciosy. Mężczyzna był prędko i silny i Darius skupił swą uwagę na tym, by przeżyć.

Jeden z ciosów Darius zablokował odrobinę zbyt późno i wykrzyknął z bólu, gdy nadzorca wykorzystał to i ciął go w biceps. Była to rana płytka, lecz bolesna. Darius poczuł krew, swą pierwszą bitewną ranę, i zaszokowało go to.

Popełnił błąd. Nadzorca wykorzystał jego wahanie i zdzielił go wierzchnią stroną rękawicy. Metal uderzył w jego twarz, wywołując ogromny ból w szczęcie i na policzku i posłał go w tył. Darius zatoczył się kilka stóp i pomyślał, że musi zapamiętać, by nigdy nie zatrzymywać się i nie oglądać swych ran, gdy bitwa jeszcze trwa.

Poczuł smak krwi na ustach i ogarnął go szal. Nadzorca ponownie na niego szarżował, był już blisko. Był duży i silny, lecz tym razem – może przez policzek pulsujący z bólu i krew na języku – Darius nie pozwolił, by to go przestraszyło. Pierwsze ciosy bitwy zostały zadane i Darius pojął, że choć były bolesne, nie były aż tak złe. Wciąż stał, wciąż oddychał, wciąż żył.

A to oznaczało, że nadal mógł walczyć. Mógł odpierać ciosy i kontynuować walkę. Bycie rannym nie było ani w połowie tak straszne, jak się obawiał. Może i był mniejszy i nie tak doświadczony, lecz dotarło do niego, że zdolności jego były równie dobre jak każdego innego – i także mogły zadać śmierć.

Darius wyrzucił z siebie gardłowy krzyk i rzucił się naprzód, tym razem łaknąc potyczki, a nie unikając jej. Nie lękając się już ran, uniósł miecz z krzykiem i ciał w przeciwnika. Męczyzna parował cios, lecz Darius nie poddawał się, zamachując się raz po raz, odpierając nadzorcę mimo jego większej postury i siły.

Darius walczył co sił, walczył za Loti, walczył za wszystkich swych ziomków, swych towarzyszy broni. Uderzał na lewo i prawo, szybciej niż kiedykolwiek, nie pozwalając już, by spowalniał go ciężar stali, i wreszcie trafił. Nadzorca wykrzyknął z bólu, gdy Darius ciał go w bok.

Odwrócił się i obrzucił Dariusza gniewnym spojrzeniem, w którym wpiery ukazało się zaskoczenie, a później żądza zemsty.

Wrzasnął niby raniony zwierz i natarł na Dariusza. Nadzorca cisnął na ziemię swój miecz, rzucił się naprzód i zwarł się z Dariuszem w uścisku. Uniósł go nad ziemię, ściskając z siłą tak wielką, że Darius upuścił swój miecz. Wszystko to zdarzyło się tak szybko i było to tak niespodziewany ruch, że Darius nie zdołał zareagować na czas. Spodziewał się, że jego przeciwnik będzie używał w potyczce miecza, nie pięści.

Darius, wisząc w powietrzu i pojękując, czuł, jak gdyby każda kość w jego ciele miała pęknąć. Wykrzyknął z bólu.

Nadzorca zacieśnił uścisk i Dariusz pewien był, że zginie. Następnie mężczyzna odchylił się w tył i walnął Dariusza czołem w nos.

Dariusz poczuł broczącą z nosa krew i przeraźliwy ból przeszywający jego twarz i oczy, kłujący, osłepiający ból. Nie spodziewał się takiego posunięcia i gdy nadzorca odchylił się, by uderzyć go ponownie, bezbronny Dariusz był pewien, że zginie.

Wtem rozległo się brzęczenie łańcuchów i nadzorca wybałuszył oczy, rozluźniając zaciśnięte na Dariuszu ręce. Dariusz dyszał ciężko, skołowany, i podniósł wzrok, zastanawiając się, czemu nadzorca go puścił. Wtem ujrzał stojącą za nim Loti. Zarzuciła zwisający luźno łańcuch wokół jego szyi i zaciskała go z całej siły.

Dariusz zatoczył się w tył, próbując złapać oddech, i patrzył, jak nadzorca cofa się kilka stóp, następnie sięga za siebie nad ramieniem, chwyta Loti, pochyla się i przerzuca ją sobie nad głową. Loti upadła z krzykiem na plecy, na twardą ziemię, pośród pyłu.

Nadzorca podszedł do niej, uniósł nogę, namierzył butem nad jej twarzą i Dariusz spostrzegł, że zamierza opuścić go i zmiażdżyć ją. Był już dobre dziesięć stóp od niego, zbyt daleko, by zdążyć dobiec do niego na czas.

– NIE! – wrzasnął.

Dariusz przemyślał to prędko: pochylił się, chwycił swój miecz, dał krok naprzód i jednym zręcznym ruchem cisnął nim.

Miecz poszybował w powietrzu, obracając się dokoła siebie,

a Darius patrzył jak urzeczony, jak ostrze przebija zbroję nadzorcy, przeszywając jego serce.

Jego oczy ponownie szeroko się otworzyły i Darius patrzył, jak zatacza się i upada, wpierw na kolana, a później na twarz.

Loti podniosła się prędko, a Darius podbiegł do niej. Położył dłoń na jej ramieniu, pragnąc ją pocieszyć, niezwykle jej wdzięczny. Odetchnął z ulgą, że nie spotkała jej żadna krzywda.

Wtem powietrze przeciął nagły gwizd; Darius obrócił się i ujrzał, jak leżący na ziemi nadzorca unosi dłoń do ust i gwizdże ponownie, ostatni raz przed śmiercią.

Przeraźliwy ryk rozdarł powietrze i zatrzęsała się ziemia.

Darius obejrzał się i zamarł ze strachu na widok zerty, która nagle zerwała się do szarży. Pędziła ku nim rozwścieczona, opuściwszy swe ostre rogi. Darius i Loti wymienili spojrzenia, wiedząc, że nie mają dokąd uciec. Darius wiedział, że w ciągu kilku chwil oboje będą martwi.

Rozejrzał się, szybko rozważając ich możliwości, i ujrzał obok nich strome, zasypane głazami zbocze. Uniósł rękę z dłonią wyciągniętą przed sobą, a drugą otoczył Loti, przygarniając ją do siebie. Darius nie chciał przyzywać swych mocy, lecz wiedział, że teraz – jeśli chciał przeżyć – nie miał wyboru.

Poczuł, jak przepływa przez niego ogromne ciepło, moc, nad którą ledwie był w stanie zapanować, i ujrzał, jak z jego otwartej dłoni na strome zbocze uderza światło. Rozległ się hałas – wpierw cichy, następnie coraz głośniejszy – i Darius zobaczył, jak głazy poczynają staczać się ze stromego zbocza, nabierając

prędkości.

Lawina runęła na zertę i zmiążdżyła ją na chwilę przed tym, nim do nich dobiegła. W górę wzniosł się ogromny obłok kurzu, rozległ się głośny hałas, a po chwili wreszcie wszystko ucichło.

Dariusz stał bez ruchu. Dokoła niego panowała cisza, a w słońcu wirował pył. Ledwie był w stanie pojąć, co właśnie uczynił. Odwrócił się i spostrzegł, że Loti patrzy na niego. Na jej twarzy dojrzał przerażenie i wiedział, że wszystko się zmieniło. Ujawnił swą tajemnicę. I teraz nie było już odwrotu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Thor siedział wyprostowany na niewielkiej łodzi. Nogi skrzyżował, a dłonie złożył na kolanach. Był zwrócony plecami do pozostałych, a wzrok utkwiał w zimnym, okrutnym morzu. Oczy poczerwieniały mu od płaczu i nie chciał, by inni widzieli go takiego. Łzy obeschły już dawno, lecz oczy wciąż miał opuchnięte, gdy patrzył skonsternowany w morze, rozmyślając nad tajemnicami życia.

Dlaczego dano mu syna, skoro go odebrano? Jak ktoś, kogo darzył tak wielką miłością, mógł zniknąć, zostać mu odebrany bez żadnego ostrzeżenia i szansy, że powróci?

Życie było bez wątpienia okrutne, pomyślał Thor. Gdzie w tym wszystkim kryła się sprawiedliwość? Dlaczego jego syn nie mógł do niego powrócić?

Thor oddałby wszystko – *wszystko* – poszedłby w ogień, zginął tysiąc razy – gdyby tylko zwróciło mu to Guwayne'a.

Zamknął oczy i potrząsnął głową, próbując wyprzeć z głowy widok wulkanu, pustego kosza, płomieni. Próbował wyprzeć myśl, że jego syna spotkała tak bolesna śmierć. W jego sercu gorzała wściekłość, lecz nade wszystko smutek. I wstyd, że nie dotarł do swego synka wcześniej.

Thor czuł także silny ucisk w dołku, gdy próbował wyobrazić sobie spotkanie z Gwendolyn, to, jak przekazuje jej wieści. Z pewnością nigdy już nie spojrzy mu w oczy. I nigdy już nie

będzie tą samą osobą. Thor miał wrażenie, że odebrano mu całe jego życie. Nie wiedział, jak je odbudować, jak pozbierać rozprysnięte odłamki. Jakim sposobem, zastanawiał się, miał znaleźć inny sens życia?

Thor usłyszał za sobą kroki. Gdy łódź przechyliła się nieznacznie, poskrzypując, poczuł, że ktoś staje za nim. Obejrzał się i ze zdumieniem ujrzał, że siada obok niego Conven. Wzrok utkwiał w dali. Thor miał wrażenie, że nie mówił z Convenem od wieków, przynajmniej od śmierci jego brata bliźniaka. Uradował się, że go widzi. Patrząc na niego, na wryty na jego twarzy smutek, po raz pierwszy go zrozumiał. Naprawdę go zrozumiał.

Conven nie odezwał się ani słowem. Nie musiał. Wystarczyła sama jego obecność. Usiadł przy nim na znak współczucia. Byli niczym bracia połączeni w żalu.

Długi czas siedzieli w milczeniu. Ciszę przerywał jedynie hulający obok wiatr i fale delikatnie obmywające łódź, tę niewielką łódź dryfującą po niemierzonych wodach. Wyprawa, by odnaleźć i uratować Guwayne'a, odebrała im wszystkim siły.

Wreszcie Conven odezwał się:

– Nie ma dnia, bym nie wracał myślami do Convala – rzekł ponurym głosem.

Przez długi czas siedzieli dalej w milczeniu. Thor pragnął coś odrzec, lecz nie potrafił. Głos uwiązał mu w gardle.

W końcu Conven dodał:

– Ubolewam nad twą stratą. Pragnąłbym ujrzeć, jak Guwayne staje się wielkim wojownikiem, jak jego ojciec. Wiem, że tak by

się stało. Życie bywa tragiczne, okrutne. Daje czasem coś po to tylko, by to odebrać. Chciałbym ci rzec, że wyzbyłem się swego smutku – lecz tak nie jest.

Thor spojrział na niego. Brutalna szczerość Convena w jakiś sposób przywróciła mu spokój ducha.

– Co trzyma cię przy życiu? – zapytał Thor.

Conven patrzył w wodę przez długi czas, po czym wreszcie westchnął.

– Sądzę, że tego właśnie pragnąłby Conval – powiedział. – Pragnąłby, bym żył dalej. Więc żyję. Robię to dla niego. Nie dla siebie. Czasem żyjemy dla innych. Czasem nie dbamy o życie na tyle, by wieść je dla siebie, żyjemy zatem dla nich. Z wolna zaczynam pojmować, że czasem to musi wystarczyć.

Thor pomyślał o Guwaynie, który zginął, i zamyślił się nad tym, czego chciałby jego syn. Co oczywiste, pragnąłby, by Thorgrin żył, by opiekował się jego matką, Gwendolyn. Miało to sens. Trudno mu było jednak przekonać o tym swe serce.

Conven odchrząknął.

– Żyjemy dla naszych rodziców – powiedział. – Dla naszego rodzeństwa. Dla naszych żon, synów i córek. Żyjemy dla innych. I czasami, gdy życie uderzy tak silnie, że nie chcesz już żyć dla siebie, to musi ci wystarczyć.

– Nie zgadzam się – dobiegł ich głos.

Thor obejrzał się. Z drugiej strony zbliżał się Matus. Usiadł obok nich. Utkwił w morzu surowe, dumne spojrzenie.

– Wierzę, że żyjemy dla czegoś więcej – dodał.

– A dla czegoż to konkretnie? – zapytał Conven.

– Wiary – westchnął Matus. – Mój lud, mieszkańcy Wysp Górnych, składa modły do czterech bogów skalistych brzegów. Modlą się do bogów wody, wiatru, nieba i skał. Bogowie ci nigdy nie odpowiedzieli na me modlitwy. Ja modłę się do przedwiecznych bogów Kręgu.

Thor spojrział na niego zaskoczony.

– Nie znałem nigdy żadnego mieszkańca Wysp Górnych, który wyznawałby wiarę Kręgu – rzekł Conven.

Matus skinął głową.

– Nie jestem podobny do mych ziomków – powiedział. – Nigdy nie byłem. Pragnąłem wstąpić do zakonu, gdy byłem młodszy, lecz ojciec mój nie chciał o tym słyszeć. Nalegał, bym chwycił do ręki oręż, jak moi bracia.

Westchnął.

– Wierzę, że żyjemy dla naszej wiary, nie dla innych – dodał. – To ona pozwala nam żyć. Jeśli nasza wiara jest wystarczająco silna, *naprawdę* silna, wszystko może się zdarzyć. Nawet cud.

– A czy przywróci mi mego syna? – zapytał Thor.

Matus skinął głową, nie zawahawszy się nawet. W jego oczach Thor dostrzegł pewność.

– Tak – odparł Matus zdecydowanie. – Wszystko może się zdarzyć.

– Kłamiesz – powiedział oburzony Conven. – Karmisz go złudną nadzieją.

– Nic podobnego – odrzekł Matus.

– Twierdzisz, że wiara przywróci mi mego zmarłego brata? – naciskał Conven, wściekły.

Matus westchnął.

– Twierdzę, że każda tragedia jest darem – powiedział.

– Darem? – spytał z przerażeniem Thor. – Twierdzisz, że utrata mego syna jest darem?

Matus skinął głową z pewnością.

– Choć brzmi to tragicznie, otrzymałeś dar. Nie wiesz jeszcze jaki. Być może przez długi czas się tego nie dowiesz. Lecz jednego dnia go dostrzeżesz.

Thor odwrócił głowę i spojrzał w morze, skołowany, niepewny. Zastanawiał się, czy była to próba. Czy była to jedna z prób, o których mówiła mu matka? Czy sama wiara byłaby w stanie przywrócić mu syna? Pragnął w to wierzyć. Naprawdę. Nie wiedział jednak, czy jego wiara jest wystarczająco silna. Gdy jego matka mówiła o próbach, Thor był święcie przekonany, że poradzi sobie ze wszystkim, co stanie mu na drodze; teraz jednakże, dręczony takimi uczuciami, nie wiedział, czy jest wystarczająco silny, by żyć dalej.

Kołysali się na falach, gdy wtem prąd zmienił bieg i Thor poczuł, jak ich niewielka łódź obraca się i zmierza w przeciwnym kierunku. Ocknął się z zadumy i obejrzał przez ramię, zastanawiając się, co się dzieje. Reece, Elden, Indra i O'Connor wciąż wiosłowali i zajmowali się niewielkim żaglem, który łopotał dziko na wietrze. Na ich twarzach gościła konsternacja.

– Północny Prąd – powiedział Matus, wstając z rękoma opartymi na biodrach. Rozejrzał się wokoło, przyjrzał wodom. Pokręcił głową. – Niedobrze.

– Co to takiego? – spytała Indra. – Nie możemy zapanować nad łodzią.

– Występuje czasem przy Wyspach Górnych – wyjaśnił Matus. – Nie widziałem go nigdy na własne oczy, lecz słyszałem o nim, jest częsty zwłaszcza tak daleko na północy. To prąd odpływowy. Gdy się w niego wpadnie, zabiera cię, dokąd tylko zechce. Bez względu na to, jak mocno będziesz wiosłować czy stawiać żagiel.

Thor opuścił wzrok i ujrzał, że woda pędzi z dwukrotnie większą prędkością. Spojrzał przed siebie i dostrzegł, że zmiernają ku nowemu, pustemu widnokręgowi. Niebo przed nimi znaczyły fioletowe i białe obłoki, zarazem piękne i złowrogie.

– Ale zmiernamy teraz na wschód – powiedział Reece. – A musimy udać się na zachód. Wszyscy nasi ludzie tam są. Imperium jest na zachodzie.

Matus wzruszył ramionami.

– Zmiernamy tam, dokąd wiedzie nas prąd.

Thor rozejrzał się, zdumiony i sfrustrowany. Pojął, że każda upływająca chwila oddala ich od Gwendolyn, oddala ich od ich ludzi.

– A gdzie się kończy? – spytał O'Connor.

Matus wzruszył ramionami.

– Znam jedynie Wyspy Górne – rzekł. – Nigdy nie byłem tak daleko na północy. Nie wiem, co leży dalej.

– Kończy się – odezwał się Reece ponurym głosem. Wszyscy spojrzeli na niego.

Reece obrzucił ich ponurym spojrzeniem.

– Wiele lat temu, gdy byłem młody, pobierałem nauki o prądach morskich. W prądawnej księdze Królów umieszczone były mapy każdej części świata. Północny Nurt płynie do wschodniego krańca świata.

– Wschodniego krańca? – powiedział Elden z niepokojem w głosie. – Znaleźlibyśmy się po innej stronie świata niż nasi ludzie.

Reece wzruszył ramionami.

– Księgi były prądawne, a ja byłem znacznie młodszy. Pamiętam w zasadzie jedynie to, że prąd prowadził do portalu do Krainy Duchów.

Thor spojrzął na Reece’a z zaciekawiony.

– Bajania starych bab i bajki – rzekł O’Connor. – Portal do Krainy Duchów nie istnieje. Został zamknięty setki lat temu, nim nasi ojcowie przyszli na ten świat.

Reece wzruszył ramionami i zaległa cisza. Wszyscy odwrócili się i utkwili spojrzenia w morzu. Thor przyjrzał się rwącym wodom i przez myśl przeszło mu pytanie, dokąd też one ich zaprowadzą.



Thor siedział sam na brzegu łodzi, od wielu godzin wpatrując się w wodę. Kropelki zimnej wody opryskiwały mu twarz, on jednak popadł w ośpienie i niemal tego nie czuł. Pragnął działać, podnieść żagiel, chwycić za wiosła – zrobić cokolwiek – lecz żadne z nich nie mogło nic teraz zrobić. Północny prąd zabierał ich tam, dokąd chciał, i mogli jedynie siedzieć beczynn timer obserwować wodę, zastanawiając się, dokąd dopłyną. Łódź unosiła się na wysokich falach. Byli teraz w rękach losu.

Thor siedział, obserwując horyzont i zastanawiając się, gdzie kończy się morze. Poczłł, że i on sam pogrąża się w nicości, odrętwiały z zimna i wiatru, pogrążony w jednostajności głębokiej ciszy, która zapadła pomiędzy nimi. Morskie ptaki, które przedtem zataczały nad nimi koła, zniknęły już dawno. Cisza pogłębiała się, niebo ciemniało coraz bardziej i Thor odnosił wrażenie, że wpływają w jakieś pustkowie na samym krańcu ziemi.

Kilka godzin później, gdy niknęło ostatnie światło dnia, Thor wyprostował się raptownie, dostrzegłszy coś na widnokręgu. Z początku pewien był, że to iluzja; jednak gdy prąd przybrał na sile, kształt wyostrzył się. Nie zdawało mu się.

Thor wyprostował się po raz pierwszy od wielu godzin, po czym wstał. Stanął na kołyszącej się łodzi z dłońmi wspartymi

na biodrach i spojrzął w dal.

– Czy wy też to widzicie? – dobiegł go głos.

Thor obejrzał się i spostrzegł, że Reece podchodzi do niego. Elden, Indra i pozostali wkrótce dołączyli do nich i wszyscy patrzyli z zadziwieniem.

– Wyspa? – zastanawiał się na głos O’Connor.

– Wygląda na jaskinię – rzekł Matus.

Gdy zbliżyli się, Thor począł dostrzegać jej zarys i ujrzał, iż w istocie jest to jaskinia. Była to ogromna, naga skała, wyłaniająca się z wody pośrodku bezwzględnego, bezkresnego oceanu, wysoka na setki stóp, z wejściem w kształcie wysokiego łuku. Wyglądała jak ogromna paszcza, gotowa pożreć cały świat.

A prąd pchał ich łódź w jej kierunku.

Thor przyglądał się w zadziwieniu, wiedząc, że może to być tylko jedno: wejście do Krainy Duchów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dariusz szedł powoli piaszczystą drogą, a obok niego szła Loti. Panowało między nimi pełne napięcia milczenie. Żadne nie odezwało się słowem od czasu potyczki z nadzorcą niewolników i jego żołnierzami i w umyśle Dariusza roило się od miliona myśli, gdy zmierzał u jej boku w stronę wsi. Dariusz pragnął otoczyć ją ramieniem i wyznać, jak bardzo raduje go, że nic jej się nie stało, że ocaliła go, jak on ocalił ją, że był zdeterminowany nie pozwolić jej już nigdy odejść. Pragnął ujrzeć w jej oczach radość i ulgę, pragnął usłyszeć od niej, jak wiele znaczyło dla niej to, że zaryzykował dla niej życie – albo że choć uradowała się na jego widok.

Szli jednak w głębokiej, niezręcznej ciszy. Loti nic nie mówiła, nie spojrzała nawet na niego. Nie przemówiła do niego ani słowem odkąd wywołał lawinę ani nie spojrzała mu w oczy. Dariuszowi serce tłukło się w piersi i zastanawiał się, o czym myślała. Widziała, jak przyzywa swą moc, widziała lawinę. Gdy głązy opadły, rzuciła mu przerażone spojrzenie i od tamtej pory nie spojrzała na niego więcej.

Być może, myślał Dariusz, Loti sądziła, że złamał zakaz jej ludu, który nie pochwalał magii, który pogardzał nią jak niczym innym. Być może lękała się go; albo – co gorsza – może już go nie kochała. Być może uważała go za jakieś dziwadło.

Szli powoli w kierunku wioski, a Dariusz czuł, że serce mu

pęka i zastanawiał się, na cóż to wszystko uczynił. Zaryzykował życie, by ocalić dziewczynę, która już go nie kochała. Oddałby wszystko, by poznać jej myśli. Lecz ona nie odezwała się słowem. Czyżby była w szoku?

Dariusz chciał rzec coś, cokolwiek, byle przerwać ciszę. Nie wiedział jednak, od czego zacząć. Sądził, że ją zna, teraz jednak nie był już tego wcale pewien. Po części czuł się oburzony jej reakcją i zbyt dumny, by się odezwać, po części był jednak także nieco zawstydzony. Wiedział, co jego lud sądził o używaniu magii. Czy to, że użył magii, było takie straszne? Nawet jeśli ocalił życie Loti? Czy wyjawi to innym? Wiedział, że jeśli w osadzie się o tym dowiedzą, z pewnością go wygnają.

Szli i szli i wreszcie Dariusz nie mógł już tego znieść; musiał się odezwać.

– Twoja rodzina pewno uraduje się, widząc, że powróciłaś bezpiecznie – powiedział.

Ku jego rozczarowaniu Loti nie wykorzystała okazji, by na niego spojrzeć; nie zmieniła nawet wyrazu twarzy. Szli dalej w milczeniu. Wreszcie, po długiej chwili, pokręciła głową.

– Być może – powiedziała. – Sądzę jednak, że bardziej będą zaniepokojeni. Cała nasza wieś będzie.

– Co masz na myśli? – zapytał Dariusz.

– Zabiłeś nadzorcę. *My* zabiliśmy nadzorcę. Całe Imperium będzie nas szukać. Zniszczą naszą wieś. Nasz lud. Uczyniliśmy coś strasznego, samolubnego.

– Strasznego? Ocaliłem ci życie! – powiedział Dariusz

poirytowany.

Wzruszyła ramionami.

– Moje życie niewarte jest życia wszystkich naszych ziomków.

Darius gotował się ze złości, nie wiedząc, co rzec. Szli dalej. Zaczynało docierać do niego, że Loti nie ma łatwego charakteru, że trudno ją zrozumieć. Zbyt mocno zakorzenione w niej były sztywne reguły jej rodziców, ich ludu.

– Nienawidzisz mnie zatem? – rzekł. – Nienawidzisz mnie, gdyż cię uratowałem.

Nadal nie chciała na niego spojrzeć. Szła dalej przed siebie.

– Ja także cię uratowałam – odparła z dumą. – Nie pamiętasz?

Darius poczerwieniał; nie rozumiał jej. Zbyt wiele było w niej dumy.

– Nie nienawidzę cię – dodała w końcu. – Lecz widziałam, jak tego dokonałeś. Widziałam, co zrobiłeś.

Darius poczuł, że trzęsie się wewnątrz, dotknięty jej słowami. Wypowiedziała je niczym oskarżenie. To nie było sprawiedliwe, zwłaszcza po tym, jak ocalił jej życie.

– A czy to takie okropne? – zapytał. – Bez względu na moc, której użyłem?

Loti nic nie odrzekła.

– Jestem, jaki jestem – powiedział Darius. – Taki się urodziłem. Nie prosiłem o to. Sam nie do końca to pojmuję. Nie wiem, kiedy to przychodzi, a kiedy odchodzi. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę w stanie tego użyć. Nie chciałem tego użyć. Tak w zasadzie... to ta moc użyła mnie.

Loti nie podnosiła wzroku i nie odpowiadała. Nie patrzyła mu w oczy i Darius poczuł, że narasta w nim uczucie żalu. Czyżby popełnił błąd, przychodząc jej z pomocą? Czy powinien się wstydzić tego, kim jest?

– Woląabyś być martwa, niż bym użył... czymkolwiek było to, czego użyłem? – zapytał Darius.

Szli dalej, a Loti nadal się nie odzywała. Żal Dariusza pogłębił się.

– Nie rozmawiaj o tym z nikim – powiedziała. – Nie możemy nigdy mówić o tym, co tutaj dzisiaj zaszło. Oboje stalibyśmy się wyrzutkami.

Minęli zakręt i ich oczom ukazała się ich wioska. Szli główną drogą i niebawem spostrzegli ich wieśniacy, którzy wykrzyknęli głośno z radości.

Nastąpiło wielkie poruszenie. Setki wieśniaków wyległy na ich spotkanie, spiesząc z podnieceniem, by przyjąć Loti i Dariusza. Przez tłum przedarła się matka Loti, za którą wyszedł jej ojciec i dwóch braci, wysokich, roślących mężczyzn o krótkich włosach i dumnych szczękach. Obrzucili Dariusza baczny spojrzeniem. Obok nich stanął trzeci brat Loti, mniejszy od pozostałych i kulejący na jedną nogę.

– Kochana – rzekła matka Loti, spiesząc przez tłum, i objęła ją, ściskając mocno.

Darius trzymał się na uboczu, nie wiedząc, jak się zachować.

– Co się stało? – zapytała jej matka. – Sądziłam, że Imperium cię zabrało. Jak się uwolniłaś?

Wieśniacy spowaźnieli, zamilkli i oczy wszystkich skierowały się na Dariusa. Chłopak stał w miejscu, nie wiedząc, jak się zachować. Czuł, że powinna to być chwila wielkiej radości przez wzgląd na to, co uczynił, chwila, w której powinien być dumny, w której powinien zostać powitany we wsi jak bohater. Wszak to on jako jedyny spośród nich wszystkich odważył się ruszyć za Loti.

Była to dla niego jednak chwila zupełnej konsternacji. Może nawet wstydu. Loti rzuciła mu znaczące spojrzenie, jak gdyby przestrzegała go, by nie wyjawiał ich tajemnicy.

– Nic się nie stało, matko – powiedziała Loti. – Rozmyślili się i wypuścili mnie.

– Wypuścili cię? – powtórzyła, osłupiała.

Loti przytaknęła.

– Wypuścili mnie z dala stąd. Zbłądziłam w lesie, lecz Dariusz mnie odnalazł. Przeprowadził mnie z powrotem.

Wieśniacy w milczeniu przenosili podejrzliwe spojrzenia z Dariusa na Loti i z powrotem. Dariusz czuł, że nie dają wiary ich słowom.

– A co to za ślad na twojej twarzy? – zapytał jej ojciec, wychodząc naprzód i przesuwając palcem po jej policzku, odwracając jej głowę, by się mu przyjrzeć.

Dariusz obrócił się i ujrzał ogromnego, błękitnego sińca.

Loti podniosła niepewny wzrok na ojca.

– Ja... potknęłam się – powiedziała. – O korzeń. Jak rzekłam, nic mi nie jest – obstawała uparcie przy swoim.

Wszyscy spojrzeli na Dariusa, a Bokbu, wódz osady, wyszedł naprzód.

– Dariusie, czy to prawda? – zapytał poważnym głosem. – Sprowadziłeś ją z powrotem na drodze pokoju? Nie starłeś się z Imperium?

Darius stał w bezruchu, a serce tłukło mu się jak oszalałe. Setki oczu wpatrzone były w niego. Wiedział, że jeśli powie im o potyczce, jeśli powie, co uczynił, wszyscy będą lękać się nadchodzącego odwetu. A nie mógłby wyjaśnić im, jak ich uśmiercił, nie wspominając o magii. Stałby się wyrzutkiem i Loti także. Nie chciał też siać w nich paniki.

Darius nie chciał kłamać. Nie wiedział jednak, co innego zrobić.

Skinął więc tylko głową w kierunku starszych, nie odzywając się. Niech zrozumieją to jak chcą, pomyślał.

Ludzie odwrócili się z wolna z uczuciem ulgi i spojrzeli na Loti. Wreszcie jeden z jej braci wyszedł naprzód i otoczył ją ramieniem.

– Nic jej nie jest! – zawołał, przerywając napięcie. – Jedyne to się liczy!

Chwila napięcia minęła i w wiosce rozległy się głośne okrzyki. Rodzina Loti obejmowała ją, i inni także.

Darius stał i patrzył. Kilka osób poklepało go bez przekonania po plecach, a Loti obróciła się wraz ze swoją rodziną i ruszyła do wsi. Patrzył, jak odchodzi, czekając z nadzieją, że choć raz odwróci się, by na niego spojrzeć.

Serce mu się ścisnęło, gdy patrzył, jak znika w tłumie, nie odwracając się ani razu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Volusia stała dumnie na złotym podwyższeniu na swej złotej, błyszczącej w słońcu łodzi. Płynęła powoli korytarzami wodnymi Volusii, wyciągając na boki ręce i napawając się uwielbieniem tłumu. Ludzie wylegli tłumnie, tysiącami, i pospieszyli nad wodne korytarze. Ustawili się na ulicach i alejkach i wykrzykiwali jej imię ze wszystkich stron.

Płynąc po wąskich korytarzach wodnych, które wiły się przez całe miasto, Volusia mogła wyciągnąć dłoń i niemal dotknąć swych poddanych, którzy wykrzykiwali jej imię i piszczeili z uwielbieniem, wyrzucając w górę podarte strzepy różnobarwnych zwojów, które mieniły się w świetle, opadając na nią niby krople deszczu. Było to największą oznaką szacunku jej poddanych. W ten sposób witali powracającego bohatera.

– Niech żyje Volusia! Niech żyje Volusia! – rozlegały się głosy i odbijały echem w jednej alejce po drugiej, gdy mijała tłumy. Korytarze wodne prowadziły ją przez środek tego wspaniałego miasta, jego ulice i budynki znaczone złotem.

Volusia odchyliła się w tył, nie posiadając się z radości, że zwyciężyła Romulusa, że uśmierciła Najwyższego Władcę Imperium i wymordowała oddział jego żołnierzy. Ona i jej lud byli jednym i czuł się pewny swego, gdy ona czuła się pewna swego, a nigdy w życiu nie czuła się silniejsza – przynajmniej nie od dnia, w którym zamordowała swą matkę.

Volusia podniosła wzrok na swe wspaniałe miasto, na dwie wysokie kolumny strzegące wejścia do niego, połyskujące w słońcu złotem i zielenią; napawała się ciągnącymi się w nieskończoność prądawnymi zabudowaniami, wzniesionymi w dniach jej przodków, liczącymi sobie setki lat, naruszonymi zębem czasu. Na nieskazitelnie czystych ulicach roilo się od tysięcy ludzi. Na każdym rogu stali wartownicy, a precyzyjnie rozplanowane korytarze wodne przecinały uliczki pod równymi kątami, wijąc się przez całe miasto. Nad nimi wznosiły się nieduże kładki, po których ciężko stąpały konie zaprzężone do złotych powozów i przechadzali się ludzie w swych najstrojniejszych jedwabiach i klejnotach. Całe miasto obchodziło święto i wszyscy wylegli na ulice, by ją powitać, i wykrzykiwali jej imię w ten święty dzień. Była dla nich kimś więcej niż tylko przywódczynią – była boginią.

Bardziej jeszcze pomyślnym ten dzień czynił fakt, że zbiegał się ze świętem, Dniem Świąteł – dniem, w którym składali pokłon siedmiu bogom słońca. Jako przywódczyni miasta, Volusia dawała znak do rozpoczęcia uroczystości i teraz, gdy płynęła przez miasto, dwie ogromne złote pochodnie płonęły żywo za nią, jaśniejsze niż światło słoneczne, gotowe, by rozwidnić Wielką Fontannę.

Ludzie podążali za nią, spiesząc ulicami, goniąc jej łódź; wiedziała, że będą jej towarzyszyć przez całą drogę, aż dotrze do środka sześciu kręgów miasta, gdzie zejdzie na ląd i podłoży ogień pod fontanny, które towarzyszyć będą świętowaniu i

składaniu ofiar tego dnia. Był to wielki dzień dla jej miasta i ludu, dzień, w którym wznoszono modły do czternastu bogów, którzy podobno otaczali jej miasto, strzegąc czternastu wejść przed intruzami. Jej lud zanosił do nich modły i dziś, jak co dzień, należało złożyć im dzięki.

Tego roku jej lud czekała niespodzianka: Volusia dodała piętnastego boga. Był to pierwszy raz od stuleci, od założenia miasta, gdy dodawano boga. Bogiem tym była ona sama. Volusia kazała wznieść pośrodku siedmiu kręgów strzelisty złoty posąg i ogłosiła ten dzień swym dniem, swym świętem. Gdy go odślonią, wszyscy jej poddani ujrzą go po raz pierwszy, ujrzą, że Volusia jest kimś więcej niż tylko ich matką, niż przywódczynią, niż zwykłym człowiekiem. Jest boginią, którą należy czcić każdego dnia. Będą modlić się do niej i składać jej pokłony tak jak przed pozostałymi bogami – uczynią to, albo okupią to krwią.

Volusia uśmiechnęła się do siebie, gdy jej łódź zbliżyła się do środka miasta. Niecierpliwiła się, by ujrzeć wyraz ich twarzy, by czcili ją jak pozostałych czternastu bogów. Nie zdawali sobie jeszcze z tego sprawy, lecz jednego dnia jednego po drugim zniszczy pozostałych bogów, aż pozostanie jedynie ona.

Podeksytowana Volusia obejrzała się przez ramię i ujrzała zdający się nie mieć końca sznur płynących za nią łodzi. Na wszystkich znajdowały się żywe byki, kozły i barany, wierzące się i głośnie, przygotowane jako ofiara dla bogów. Przed swym posągiem zarżnie największego, najlepszego.

Łódź Volusii dotarła wreszcie do korytarza wodnego

prowadzącego ku siedmiu złotym kręgom, złotym placom, spośród których każdy kolejny rozleglejszy był niż poprzedni, oddzielonym kręgami wody. Jej łódź przemieszczała się powoli przez kręgi, zbliżając się coraz bardziej do środka, mijając każdego z czternastu bogów. Serce jej przyspieszyło z podniecenia. Mijali górujących nad nimi, połyskujących złoto bogów, wysokich na dwadzieścia stóp. Pośrodku, na placu, który zawsze pozostawiony był pusty, by można było składać na nim ofiary, gdzie zawsze zbierali się jej poddani, tkwił teraz nowo wzniesiony złoty piedestał, na którym stał wysoki na pięćdziesiąt stóp posąg okryty białym jedwabiem. Volusia uśmiechnęła się: nikt poza nią nie wiedział, co znajduje się pod nim.

Dotarli do położonego pośrodku placu i słudzy rzucili się, by pomóc Volusii zejść na brzeg. Patrzyła, jak kolejna łódź zbliża się i tuzin mężczyzn prowadzi ku niej największego byka, jakiego kiedykolwiek widziała. Każdy z nich trzymał w rękach gruby sznur, prowadząc ostrożnie zwierzę. Nie był to zwyczajny byk, wyhodowano go w Dolnych Prowincjach. Wysoki na piętnaście stóp, skórę miał w kolorze jaskrawej czerwieni. Był uosobieniem siły. Był także pełen furii. Szarpał się, lecz mężczyźni utrzymywali go w miejscu i prowadzili ku posagowi.

Volusia usłyszała odgłos dobywanego miecza i obróciwszy się ujrzała Aksana, swego zabójcę. Stał obok niej, trzymając przed sobą ceremonialny miecz. Nie znała bardziej lojalnego człeka niż on. Gotów byłby zabić dla niej każdego, gdyby tylko skinęła

głową. Był także sadystą, czym zaskarbił sobie jej sympatię, i wiele razy zasłużył sobie na jej szacunek. Był jednym z nielicznych, którym pozwalała być blisko siebie.

Aksan wpatrywał się w nią. Miał zapadnięte policzki i poznaczoną bliznami twarz, a rogi wystawały mu z gęstych, kręconych włosów.

Volusia wyciągnęła rękę i chwyciła długi, złoty miecz ceremonialny o klindze długiej na sześć stóp i zacisnęła na rękojeści obie dłonie. Ludzie uciszali się wzajemnie, gdy Volusia obróciła się, uniosła oręż wysoko i opuściła z całą siłą na tył byczego karku.

Niezwykle ostra klinga, cienka jak papier, z łatwością przeszła przez jego ciało. Volusia uśmiechnęła się szeroko, słysząc zadowolający odgłos miecza przecinającego ciało, poczuła, jak przechodzi na wylot i jak krople jego gorącej krwi pryskają na jej twarz. Krew rozbryznięta się wokół, u jej stóp utworzyła się spora kałuża, a pozbawiony łba byk zatoczył się i upadł u podstawy wciąż osłoniętego posągu Volusii. Krew trysnęła na jedwab i złoto, barwiąc je, a z ust tłumy wyrwały się radosne okrzyki.

– To pomyślny znak, pani – powiedział Aksan, pochyliwszy się.

Rozpoczęły się ceremonie. Wokół niej rozbrzmiały trąby i wyprowadzono setki zwierząt, które jej oficerowie poczeli zarzynać. Czekał ich długi dzień pełen zarzynania, gwałtów i opychania się jadłem i winem – i to samo kolejnego dnia, i

następnego. Volusia z pewnością przyłączy się do nich. Kilku mężczyzn i nieco wina zagarnie dla siebie i poderżnie im gardła, poświęcając swym bożkom. Nie mogła się doczekać długiego dnia pełnego sadyzmu i brutalności.

Lecz wprawdzie musiała zrobić coś jeszcze.

Thum ucichł, gdy Volusia weszła na piedestał u podstawy swego posągu i zwróciła się ku nim. Z drugiej strony wszedł Koolian, inny spośród jej zaufanych doradców, mroczny czarnoksiężnik z czarnym kapturem nasuniętym na głowę, w czarnej pelerynie. Miał połyskujące zielone oczy i usianą brodawkami twarz. To on poprowadził ją do zabójstwa jej własnej matki. To on, Koolian, doradził jej, by wzniosła swój posąg.

Lud utkwiał w niej spojrzenia i cisza zaległa jak makiem zasiał. Odczekała chwilę, smakując dramatyzm chwili.

– Wspaniały ludu Volusii! – zagrziała. – Oto posąg waszego najnowszego i najpotężniejszego boga!

Volusia ściągnęła jedwabny materiał gwałtownym ruchem, a z ust tłumu wyrwał się stłumiony okrzyk.

– Wasza nowa bogini, piętnasta bogini, Volusia! – zagrział Koolian w stronę ludu.

Ludzie wydali z siebie stłumiony odgłos zachwyty, przyglądając się figurze w zadziwieniu. Volusia podniosła wzrok na błyszczący, złoty posąg, dwukrotnie wyższy od pozostałych, swą idealną podobiznę. Czekwała, podenerwowana, na reakcję ludu. Nikt od stuleci nie dodawał nowych bogów i Volusia

ryzykowała, pragnąc przekonać się, czy darzą ją miłością wystarczająco dla niej silną. Chciała, by nie tylko ją kochali; pragnęła, by ją czcili.

Ku jej wielkiemu zadowoleniu, jej poddani jak jeden mąż przypadli nagle twarzami do ziemi, składając pokłon, oddając cześć jej bożkowi.

– Volusia – krzyczeli śpiewnie raz za razem. – Volusia! Volusia!

Volusia stała z rozpostartymi na boki rękoma, oddychając głęboko, napawając się tą chwilą. Zadowoliliby to każdego człowieka. Każdego przywódcę. Każdego boga.

Lecz jej to nie wystarczało.

*

Volusia przeszła przez szerokie, otwarte łukowate wejście do swego zamku, minąwszy wysokie na sto stóp marmurowe kolumny. Wzdłuż korytarzy ustawieni byli wartownicy, żołnierze Imperium. Wyprężeni jak struny, dzierżąc w dłoniach złote włócznie, ustawieni byli hen, daleko jak okiem sięgnąć. Volusia szła powoli, stukając złotymi obcasami butów. Po jednej jej stronie szedł Koolian, jej czarnoksiężnik, po drugiej Aksan, jej zabójca, i Soku, dowodzący jej armią.

– Pani, pragnę zamienić z tobą słowo – odezwał się Soku.

Cały dzień usiłował z nią pomówić, a ona ignorowała go, nie zważając na jego lęki, jego obsesję na punkcie rzeczywistości.

Volusia żyła w swym własnym świecie i zamierzała odezwać się do niego, gdy jej będzie to odpowiadało.

Nie zatrzymywała się, aż dotarła do kolejnego przejścia prowadzącego na kolejny korytarz, przystrojony długimi sznurami szmaragdowych paciorków. Żołnierze natychmiast rzucili się naprzód i rozsunęli je na boki, umożliwiając jej przejście.

Minęła je i skandowanie, radosne okrzyki i dźwięki odprawianych na zewnątrz ceremonii poczęły cichnąć. Był to długi dzień zarzynania, picia, gwałcenia i ucztowania i Volusia potrzebowała chwili odpoczynku. Zamierzała zebrać siły i powrócić na drugą turę.

Weszła do ponurej, ciemnej komnaty, w której płonęło jedynie kilka pochodni. Pomieszczenie najmocniej rozświetlał pojedynczy snop zielonego światła padającego z okrągłego okna umiejscowionego na wysokim na sto stóp stropie nad samym środkiem komnaty. Padało ono wprost na przedmiot, który znajdował się pośrodku pomieszczenia.

Szmaragdową włócznię.

Volusia zbliżyła się do niej z podziwem. Włócznia tkwiła w miejscu od wielu stuleci, ostrzem skierowana ku górze. Jej szmaragdowy trzon i szmaragdowy grot połyskiwały w świetle, skierowane ku niebiosom, jak gdyby rzucały wyzwanie bogom. Włócznia zawsze była dla jej poddanych świętością, wierzyli oni, że broń ta podtrzymuje całe miasto. Volusia zatrzymała się przed nią z podziwem, patrząc, jak drobiny kurzu wirują wokół niej w

zielonym świetle.

– Pani – rzekł Soku cicho, a jego głos poniósł się echem w ciszy. – Czy mogę coś powiedzieć?

Volusia stała długi czas zwrócona do niego plecami, przyglądając się włóczni, podziwiając jej wykonanie, jak każdego dnia swego życia, aż wreszcie poczuła się gotowa usłyszeć, co ma do powiedzenia członek jej rady.

– Mówże – rzekła.

– Pani – powiedział. – Zabiłaś władcę Imperium. Wieść o tym z pewnością już się rozniosła. Armie najpewniej już wyruszyły w kierunku Volusii. Ogromne armie, zbyt duże, byśmy zdołali się obronić. Musimy się przygotować. Jaką zamierzasz obrać strategię?

– Strategię? – spytała Volusia, nadal nie patrząc na niego, rozdrażniona.

– Jak zawrzesz pokój? – nalegał. – Na jakich warunkach skapitulujesz?

Zwróciła się w jego kierunku i utkwiała w nim zimne spojrzenie.

– Nie będzie żadnego pokoju – powiedziała. – Do czasu aż przyjmę ich kapitulację i przysięgną mi lojalność.

Spojrzał na nią ze strachem w oczach.

– Ale, pani, mają nad nami przewagę stu do jednego – powiedział. – Nie obronimy się przed nimi.

Volusia odwróciła się z powrotem ku włóczni, a Soku dał krok do przodu, zrozpaczony.

– Pani – upierał się. – Odniosłaś niewątpliwe zwycięstwo, uzurpując tron matki. Lud nie kochał jej, ciebie za to tak. Wielbi cię. Jednak nikt nie przemówi do ciebie szczerze. Ja to uczynię. Otaczasz się ludźmi, którzy mówią ci to, co chcesz usłyszeć. Którzy lękają się ciebie. Lecz ja rzeknę ci prawdę, rzeknę ci, jak w istocie wygląda nasza sytuacja. Imperium nas otoczy. I zmiążdży. Po nas, po naszym mieście, nie pozostanie nic. Musisz podjąć działania. Musisz zawrzeć pokój. Oddaj im, co tylko zechcą. Nim zabiją nas wszystkich.

Volusia uśmiechnęła się, przyglądając się uważnie włóczni.

– Czy wiesz, co mówili o mej matce? – zapytała.

Soku stał bez ruchu i wpatrywał się w nią pustym wzrokiem.

Pokręcił głową.

– Mówili, że jest Wybrańcem. Mówili, że nikt jej nigdy nie pokona. Mówili, że nigdy nie umrze. Czy wiesz dlaczego? Dlatego, że nikt nie podniósł tej włóczni od sześciu stuleci. A ona uczyniła to jedną dłonią. I użyła jej, by zabić swego ojca i zasiąść na jego tronie.

Volusia obróciła się do niego, a w oczach jej rozgorzały historia i przeznaczenie.

– Mówili, że włócznia zostanie podniesiona tylko raz. Przez Wybrańca. Mówili, że matka moja będzie żyła tysiąc stuleci, że tron Volusii będzie jej po wsze czasy. A czy wiesz, co się stało? Ja uniosłam włócznię – i użyłam jej, by zabić mą matkę.

Wzięła głęboki oddech.

– Co z tego wnioskujeś, panie dowódcu?

Spojrzał na nią, skołowany, i pokręcił głową, zbity z tropu.

– Możemy albo żyć w cieniu legend innych ludzi – powiedziała Volusia. – Albo tworzyć własne.

Pochyliła się blisko, nachmurzona, mierząc go wściekłym spojrzeniem.

– Gdy już rozgromię całe Imperium – powiedziała. – Gdy każdy w tym wszechświecie pokłoni się przede mną, gdy nie pozostanie już ani jedna osoba, która nie zna i nie wykrzykuje mego imienia, wtedy przekonasz się, że jestem jedyną prawdziwą przywódczynią – i że jestem jedynym prawdziwym bogiem. Jestem Wybrańcem. Gdyż sama się wybrałam.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gwendolyn szła przez osadę. Towarzyszyli jej jej bracia Kendrick i Godfrey, a także Sandara, Aberthol, Brandt i Atme, a za nimi podążały setki jej ludzi. Przyjmowano ich do osady. Prowadził ich Bokbu, wódz wioski, obok którego szła Gwen. Serce miała wypełnione wdzięcznością. Jego lud przyjął ich, zapewnił schronienie, a ich wódz uczynił to na własne ryzyko, wbrew woli niektórych spośród swych poddanych. Ocalił ich wszystkich i przywrócił z martwych. Gwen nie wiedziała, co uczyniliby, gdyby nie on. Najpewniej pomarliby wszyscy na morzu.

Gwen poczuła także przyływ wdzięczności względem Sandary, która poświadczyła za nich przed swymi pobratymcami i która wiedziała, że może ich tu sprowadzić. Gwen rozejrzała się uważnie wokół. Wieśniacy tłoczyli się wokół nich, obserwując ich niby jakieś osobliwości, i Gwen poczuła się jak zwierzę zamknięte w klatce. Szła, przypatrując się niewielkim, uroczym chatom z gliny i dumnemu ludowi, który ich obserwował. Był to naród wojowników o oczach, w których kryła się dobroć. Oczywiście było, że nigdy nie widzieli nikogo podobnego do Gwen i jej poddanych. Choć zaciekawieni, byli także nieufni. Gwen nie zdziwiło to. Nawykli do tego, wiodąc życie niewolników.

Gwen spostrzegła, że dokoła ludzie wnoszą stosy na ogniska

i zaciekała się.

– Czemu rozniecacie tyle ognisk? – zapytała.

– Przybywacie w pomyślny dzień – rzekł Bokbu. – Nasze święto zmarłych. Świętą noc, która przypada raz na cykl słoneczny. Wznecamy płomienie, by oddać cześć bogom zmarłych. Wierzymy, że tej nocy bogowie przybywają do nas i mówią o tym, co nadejdzie.

– Mówią także, że nasz wybawca zjawi się tego dnia – wtrącił się głos.

Gwendolyn obejrzała się i zobaczyła starszego mężczyznę, który przekroczył już może siedemdziesiąty rok życia. Był wysoki, chudy i miał ponurą aparycję. Podszedł do nich, wspierając się na długiej, żółtej lasce. Odziany był w żółtą pelerynę.

– Pozwól, że przedstawię ci Kalo – rzekł Bokbu. – Naszą wyrocznię.

Gwen skinęła głową. Kalo odpowiedział jej tym samym z kamiennym wyrazem twarzy.

– Wasza wioska jest piękna – zauważyła Gwen. – Dostrzegam w niej rodzinną miłość.

Wódz uśmiechnął się.

– Jesteś młodą królową, lecz mądrą, łaskawą. To prawda, co mówią o tobie ci zza morza. Żałuję, że ty i twoi poddani nie możecie pozostać tutaj, w wiosce, z nami; lecz rozumiesz sama, iż musimy skryć was przed wścibskimi oczyma Imperium. Pozostaniecie jednak blisko nas; to będzie wasz nowy dom.

Gwendolyn podążyła za jego spojrzeniem. Podniosła wzrok i ujrzała w oddali górę pełną jam.

– Jaskinie – powiedział. – W nich będziecie bezpieczni. Imperium nie będzie was tam szukało, i będziecie mogli rozniecać ogniska, gotować strawę i powracać do zdrowia aż wydobrzejecie.

– A co później? – zapytał Kendrick, podchodząc do nich.

Bokbu spojrział na niego, lecz nim zdążył dać odpowiedź, zatrzymał się raptownie, gdyż drogę zagroził mu wysoki, muskularny wieśniak z włócznią, otoczony tuzinem muskularnych mężczyzn. Był to człowiek z okrętu, ten, który sprzeciwiał się ich przyjęciu. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Stawiasz w niebezpieczeństwie nas wszystkich, zezwalając tym obcym, by tu zostali – rzekł gniewnie. – Musisz odesłać ich tam, skąd przybyli. Nie jest naszym zadaniem przyjmowanie każdej rasy, która się tu pojawi.

Bokbu pokręcił głową, zwracając się w jego stronę.

– Przynosisz ujmę swym ojcom – rzekł. – Nasze prawa gościnności dotyczą każdego.

– A czy obowiązkiem niewolnika jest być gościnnym? – odparował. – Gdy wobec nas nikt nie jest?

– To, jak traktują nas nie przekłada się na to, jak my traktujemy innych – odrzekł wódz. – Nie odwrócimy się od tych, którzy nas potrzebują.

Wieśniak zaśmiał się drwiąco, patrząc nienawistnie na Gwendolyn, Kendricka i pozostałych, po czym przeniósł

spojrzenie na powrót na wodza.

– Nie chcemy ich tutaj – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Jaskinie nie leżą daleko stąd i każdy dzień, który tam spędzą, będzie przybliżał nas do śmierci.

– A cóż dobrego jest w tym życiu, którego tak kurczowo się trzymasz, jeśli nie przeżyje się go sprawiedliwie? – zapytał wódz.

Mężczyzna wpatrywał się w niego przez długi czas, wreszcie odwrócił się raptownie i odszedł gniewnym krokiem, a jego ludzie podążyli za nim.

Gwendolyn patrzyła za odchodzącymi i zamyśliła się.

– Nie zważajcie na niego – rzekł wódz, idąc dalej. Gwen i pozostali ruszyli za nim.

– Nie chcę być wam ciężarem – powiedziała Gwendolyn. – Możemy stąd odejść.

Wódz pokręcił głową.

– Nie odejdziecie – rzekł. – Póki nie odpoczniecie i nie będziecie gotowi. Możecie udać się w inne miejsca w Imperium, jeśli wolicie. Miejsca, które także są dobrze skryte. Leżą daleko stąd i niełatwo do nich dotrzeć. Musicie powrócić do zdrowia, podjąć decyzję i pozostać z nami. Nalegam. Pragnę, byście dołączyli do nas tej nocy, do obchodów naszych uroczystości w wiosce. Zmrok już zapadł – Imperium was nie spostrzeże – a to dla nas ważny dzień. Będę zaszczycony, jeśli przybędziecie.

Gwendolyn spostrzegła, że zapada zmierzch, że wokoło ludzie rozniecają ogniska, ujrzała gromadzących się wieśniaków w ich najświetniejszym odzieniu; usłyszała wznoszący się ton bębna,

cichy, miarowy, a po nim nucenie. Ujrzała biegające wokoło dzieci, trzymające w dłoniach smakołyki przypominające cukierki. Zauważyła mężczyzn sączących jakiś płyn z orzechów kokosowych i czuła unoszącą się w powietrzu woń mięsiwa, dochodzącą z wielkich zwierzy opiekających się nad ogniskami.

Gwen pomyślała, że jej ludowi posłuży odpoczynek, zebranie sił i nasycenie się, nim odejdą do jaskiń.

Odwróciła się do wodza.

– Przyjdziemy – powiedziała. – Z niemąłą przyjemnością.

*

Sandara szła u boku Kendricka. Targały nią wielkie emocje, gdyż znalazła się na powrót w domu. Uradował ją powrót do domu, to że znalazła się pośród swych ziomków na ziemi, którą znała; zarazem jednak poczuła na sobie pęta, poczuła się znów jak niewolnica. Powrót w to miejsce przypomniawszy jej, dlaczego je opuściła, dlaczego zgłosiła się do służby dla Imperium i przemierzyła z nimi morze jako uzdrowicielka. Przynajmniej uciekła z tego miejsca.

Sandara odczuła także ulgę, gdyż zdołała pomóc ocalić lud Gwendolyn, sprowadzić ich tutaj, nim zginęli na morzu. Idąc u boku Kendricka, niczego nie pragnęła bardziej, niż ująć jego dłoń, z dumą pokazać swego mężczyznę swym pobratymcom. Nie mogła jednak tego uczynić. Zbyt wiele oczu podążało za nimi, a Sandara wiedziała, że jej wieś nigdy nie pochwaliby

związku pomiędzy rasami.

Kendrick, jak gdyby czytając jej w myślach, wyciągnął rękę i otoczył nią jej talię. Sandara szybkim ruchem odsunęła jego dłoń. Kendrick spojrzał na nią, dotknięty.

– Nie tutaj – rzekła cicho, czując wyrzuty sumienia.

Kendrick zmarszczył brwi, skołowany.

– Mówiliśmy o tym – powiedziała. – Rzekłam ci, że mój lud ma surowe zwyczaje. Muszę uszanować ich prawa.

– Wstydzisz się mnie zatem?

Sandara pokręciła głową.

– Nie, panie mój. Wręcz przeciwnie. Nikt nie jest mi większą dumą niż ty. I nikogo nie darzę większym uczuciem. Lecz nie mogę być z tobą. Nie tutaj. Nie w tym miejscu. Musisz to zrozumieć.

Oblicze Kendricka spochmurniało. Sandara poczuła się fatalnie.

– A jednak to tutaj właśnie jesteśmy – powiedział. – Nie znajdziemy się w innym miejscu. Czy to oznacza, że nie będziemy razem?

Odrzekła, a serce pękało jej, gdy wypowiadała te słowa:

– Ty pozostaniesz w jaskiniach ze swymi ludźmi. A ja tutaj, w wiosce. Z moimi. Taka przypada mi rola. Kocham cię, lecz nie możemy być razem. Nie w tym miejscu.

Kendrick odwrócił wzrok, dotknięty. Sandara zamierzała wyjaśnić mu to dokładniej, lecz przeszkodził jej w tym jakiś głos.

– Sandara?! – wykrzyknął ktoś.

Sandara odwróciła się, ze zdumieniem rozpoznając znajomy głos, głos jej jedyne go brata. Serce podskoczyło jej radośnie, gdy ujrzała, jak przepycha się przez tłum w jej kierunku.

Darius.

Zdał jej się dużo większy, silniejszy i starszy, niż gdy go opuszczała. Ujrzała w nim pewność, której nigdy wcześniej nie widziała. Pozostawiła go jako chłopca, a teraz – choć nadal był młody – wyglądał jak mężczyzna. Długie, niesforne włosy opadały mu związane na plecy, wciąż nieobcięte, na twarzy nosił tę samą dumę, co zawsze i wyglądał josta w jotę jak ich ojciec. Po jego oczach poznała, że jest wojownikiem.

Sandara nie posiadała się z radości na jego widok, że widzi go żywego, że nie zginął ani nie zatracił ducha jak wszyscy pozostali niewolnicy. Jego dumna natura wciąż usiłowała wydostać się na zewnątrz. Sandara podeszła do niego i objęła go, a on odwzajemnił uścisk. Tak dobrze było znów go ujrzeć.

– Lękałem się, że zginęłaś – powiedział.

Pokręciła głową.

– Byłam jedynie za morzem – odrzekła. – Gdy wypływałam, byłeś chłopcem, a teraz jesteś mężczyzną.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.